

# Sekrety księżnej de Cadignan



HONORÉ DE BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

## *Sekrety księżnej de Cadignan*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Nazwisko Balzaka budzi dziś w naszym pojęciu obraz głębokiego, surowego niemal myśliciela, człowieka, który, jak nikt przed nim ani po nim, zważył, osądził i opisał całokształt życia społecznego, układ i stosunek jego grup, mechanizm walk i namiętności, i zaklął je w nieśmiertelną galerię typów *Komedii ludzkiej*. Balzac jest dziś lekturą, w której smakują raczej mężczyźni. Inaczej rzecz się miała w epoce, w której wielki pisarz żył i działał. Nazwisko Balzaka dla współczesnych było przede wszystkim mianem spowiednika serc i dusz kobiecych, człowieka, który, znowuż jak nikt przed nim, zrozumiał i zanalizował kobietę, podchwycił ją i uwiecznił w jej wielkości i małostkach, jej prawdzie i kłamstwach, i stworzył cały orszak niezapomnianych postaci kobiecych. Każdy nowy romans Balzaka budził echo w rzeczywistości kobiecej daleko poza granicami Francji, znajdował odzew aż gdzieś w szlacheckim dworze na zapadłej Ukrainie; z całej Europy szły doń poufne listy, prośby o radę, zwierzenia, poza którymi kryły się nieraz aspiracje tkliwszej i bardziej osobistej natury. Dziś jeszcze, dla znacznej części publiczności obeznanej jedynie ze słuchu z jego dziełem, Balzac jest przede wszystkim autorem *Kobiety trzydziestoletniej*, mimo że ten tak szczęśliwie poczęty tytuł kryje jeden z jego wyjątkowo lichych romansów, właściwie zlepek kilku opowiadań powstałych w różnych epokach.

Ta pozorna sprzeczność jest jednakże bardzo logiczna i zrozumiała. Balzac, wielki obserwator i analityk życia społecznego, zajęty odmierzaniem i wykreślaniami linii sił poruszających społeczeństwem, a zarazem zdający sobie sprawę z całej wagi *imponderabiliów* życiowych, nie mógł, jako Francuz zwłaszcza, nie spostrzec, jak olbrzymi motor dynamiki społecznej stanowi kobieta, w wyższym pojęciu typu; jak potężną sprężyną wszelkiego ruchu jest świeatek kobiecej zalotności — a, z drugiej strony, czym jest ta narkotyczna atmosfera buduaru i sypialni, w której gniew się i topi najtęższa nieraz stal charakterów. Przejrzał on i ogarnął w mnóstwie przekrojów fenomen nazwany *miłością*, który życie społeczne uczyniło tak złożonym i tak odbiegającym od pierwotnego instynktu. Zawsze zajmował go głęboko problem małżeństwa, ta kwadratura koła współżycia dwojga istot: *Fizjologia małżeństwa* rozpoczyna z ogromnym hałasem jego wielką karierę pisarską; — w *Małych niedolach pożycia małżeńskiego* Balzac powraca do tego samego tematu na jej schyłku.

*Miłość* w pojęciu Balzaka bardzo jest odmienna niż w całej poprzedzającej go literaturze. Omawiając, w swoim czasie, utwory Marivaux, miałem sposobność zaznaczyć, jakim krokiem naprzód, w stosunku do dawnej komedii, jest subtelna analiza tego pisarza, rozszczepiająca ów rzekomy pierwiastek na cały szereg składników; ale terenem obserwacji Marivaux było wnętrze duszy ludzkiej, izolowane poniekąd od zewnętrznego życia, tak jak społeczeństwo, które służyło mu za materiał, było od tego życia izolowane swoim wyjątkowo uprzywilejowanym położeniem. Przypomnijmy sobie *Niebezpieczne związki* Laclosa, ten późny kwiat cieplarniany skazanego na rychłą zagładę *ancien régime'u*! Ale Balzac staje się poetą nowo tworzącego się demokratycznego świata, w którym dominującą cechą jest obalenie wszystkich barier, otwarcie wszystkim wszelkich możliwości i dostępu, a co za tym idzie, kolosalne napięcie ambicji, woli i ludzkiego wysiłku. Fał-

szem byłoby pojmować w tym społeczeństwie miłość w rozumieniu dawnych map *Krainy czułości*; wyzbywa się ona najzupełniej swojej arystokratycznej wyłączności; jest najściślej związaną z całokształtem nowoczesnego życia, jego walk, wysiłków i ambicji, których godłem staje się symboliczny skrót całego tego zmagania — pieniądz. Miłość, aż nazbyt często, z celu — staje się środkiem. Równocześnie obserwator, który za zadanie postawił sobie odmalowanie wiernego i całkowitego obrazu społeczeństwa, musiał uświadomić sobie, że zdolność do prawdziwej, bezwzględnej miłości, ten *geniusz serca*, jest równie rzadkim jak wszelki inny geniusz<sup>1</sup>, a to, co w świecie ma obieg pod mianem miłości, to tylko gruby i mniej lub więcej zanieczyszczony aliaż. Ten świat uczuć mieszanych, złożonych, jest światem, który z niezrównanym mistrzostwem i prawdą kreśli Balzac; a niestanna gra tych trzech elementów: zmysłów, próżności i pieniądza, występujących we wszystkich możebnych kombinacjach i splatających się wciąż niby w ironiczne triolety, nadaje jego dziełu jemu tylko właściwy i osobliwie niepokojący charakter. Jeżeli, tu i ówdzie, na łamach tych głęboko mądrych i przenikliwych książek, wykwitnie uroczy kwiat prawdziwej miłości, zdolnej zapomnieć o sobie i roztopić się w bezwzględnym, depcząym wszelkie kombinacje życiowe oddaniu, to najczęściej wyrasta on nie wśród subtelnych i rafinowanych dam wielkiego świata ani w środowisku spokojnej mieszczańskiej cnoty, ale w sercu tych nieszczęśliwych wyrobnic miłości, w których uczucie to, tylekroć sponiewierane, gromadzi bezcenne skarby dla tego, komu się odda z własnej woli i wyboru. Taką jest Ester w *Blaskach i nędzach życia kurtyzany*, taka Koralia w *Straconych złudzeniach*. Jest w tym zapewne coś z panującej mody Romantyzmu, lubującego się w tym typie „jawnogrzeszniczy odrodzonej przez miłość”, typie, który tyle łez wycisnął z oczu czytelnikom i widzom, powtórzony raz jeszcze w najgłośniejszym swym egzemplarzu, słynnej *Damie kameliowej*; ale jest niewątpliwie i świadoma intencja myśliciela, który śmieiej niż kto bądź inny miał odwagę spojrzeć w oczy brutalnym paradoksom życia.

Balzac był rasowym powieściopisarzem, zatem epikiem; większość dzieł jego nie ma nic z osobistych wylewów owych dość częstych powieści „lirycznych”, w których jedyną istniejącą naprawdę osobą jest sam autor, przeglądający się w różnych pozach i różnych zwierciadłach, inne zaś postacie dają jedynie usługną replikę jego monologom. Mimo to potężna indywidualność Balzaka wkłada w każdy utwór dużo z niego samego; — i nie mogło być inaczej. Bardzo interesującym jest, znając epizody życia samego autora, śledzić, jak odbijają się one w jego dziele; ile i co z siebie lub swego otoczenia włożył w tę lub ową figurę. Omawiając w swoim czasie *Kawalerskie gospodarstwo*, wskazałem, iż figura Józefa Bridau — która zresztą wieloma szczegółami pokrywa się z karierą słynnego malarza Delacroix — mieści sporo przeżyć i rysów samego Balzaka. Tym bardziej może nas to interesować w tych dwóch opowiadaniach, których bohaterami są dwaj wybitni pisarze, dwaj wielcy ludzie — jeden fałszywy, drugi prawdziwy — zajmujący zresztą miejsce i w innych utworach z cyklu *Komedii Ludzkiej*: Natan i d'Arthez<sup>2</sup>.

Młodość Balzaka przypada na lata Restauracji monarchicznej; lata, w których świetne arystokratyczne towarzystwo Francji skupia — mimo zmienionych warunków społecznych i tylko na krótki czas — wszystkie środki, pokusy i wpływy. Młodociany głód pełni życia oraz wrażliwość artysty na wszystko, co jest blaskiem i pięknem, ściągnęły oczy ambitnego chłopca w tę stronę. Przydomek *de*, który wcześniej zaczyna dodawać do nazwiska (bez żadnego uprawnienia w tej mierze: jeszcze dziadek Balzaka zapisany jest w metrykach pod nazwiskiem *Balssa* i był prostym rolnikiem), ma służyć za pomost do tego świata, wyobrażającego dlań realizację wszystkich pragnień i ambicji. Toruje mu doń drogę sława, tym bardziej, że pierwsze lata rozgłosu Balzaka przypadają na początki nowej „lipcowej” monarchii, pod której berłem następuje znaczne wymieszanie warstw społecznych i zdemokratyzowanie nawet tego tak wyłącznego światka. Pośród mnóstwa bezimiennych wielbicielek, próbujących nawiązać korespondencję z głośnym pisarzem, znalazła się i margrabina (później księżna) de Castries, młoda, piękna, należąca do „śmietanki” towarzystwa, zarazem — jak się zdaje — osoba zalotna, próżna i zimna. Z czasem pani de Castries odsłoniła anonim, otwierając Balzakowi drzwi swego pałacu, a co za tym

<sup>1</sup>O miłości i życiu małżeńskim można przeczytać w *Fizjologii małżeństwa* Balzaka. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Jednym z głównych węzłów, spajających w organiczną całość poszczególne utwory Balzaka, jest powieść pt. *Stracone złudzenia*. [przypis tłumacza]

idzie, wszystkie prawdziwe salony Paryża. I oto Balzac, najmniej przez naturę przeznaczony do zawodu dandysa i światowca (był krępy, niezręczny, rubaszny, pospolity, ale — wedle świadectwa współczesnych — zapominało się o tym pod wpływem wspaniałego blasku jego oczu i porywającej rozmowy), sili się, na krótki czas zresztą, przedzierzgnąć w lwa salonowego, rozwija przepych fantazyjnych kamizelek<sup>3</sup>, ugania w kabriolecie po Lasku Bulońskim, wciąż nadskakując pięknej margrabinie i prowadząc z nią podjazdową wojnę miłosną. Balzac przeszedł na własnej skórze wszystkie problemy tego konfliktu, który skreślił w *Córce Ewy*: konfliktu między *stylem* miłości, tkwiącym jeszcze w epoce, kiedy bohaterowie pięknego świata nie mieli prócz miłości innego zatrudnienia, a straszliwymi warunkami nowoczesnego życia, w którym czynny i ambitny człowiek zaledwie ma dość sił, aby nastarczyć wszystkim koniecznym wydatkom energii. Okres ten w życiu pisarza trwał niedługo; z jednej strony, nieubłagana kwestia *czasu* i rozbieżność pomiędzy olbrzymimi pracami, jakie go wołały, a tym światowym rozprószeniem, z drugiej poczucie nierównej stawki, jaką obie strony wносиły w grę, kazały mu się wyrwać, mimo iż z krwawiącym sercem, z tej pajęczej sieci, aby się oddać już niepodzielnie twardym wymaganiom życia artysty-pracownika.

Interesującym jest, w jaki sposób samozachowawczy instynkt geniuszu Balzaka potrafił pogodzić marzenia jego o wytwornej miłości „hrabiny” z pochłaniającą wszystkich czas pracę. Po prostu, przerzucając ideał — mimo iż realny — w świat prawie że czystej wyobraźni. Pośród korespondencji licznych „nieznajomych”, szczególną uwagę pisarza zwrócił list datowany z Odessy, 28 lutego 1832. Autorką jego była pani Hańska, z domu hr. Rzewuska (siostra powieściopisarza, autora *Listopada*), zamieszkała w majątku Wierzchowni na Ukrainie. Po tym liście nastąpiła wymiana dalszych, potem pierwsze spotkanie i poznanie się w Szwajcarii, gdzie pani Hańska bawiła z mężem i rodziną, i stosunek *quasi*-miłosny, z wzajemnymi obietnicami małżeństwa, ciągnący się przez lat 17 na przestrzeń kilkuset mil, z przerwami czasem po 7 lat pomiędzy jednym widzeniem a drugim, wreszcie, na kilka miesięcy przed śmiercią pisarza, zakończony małżeństwem, którego harmonia nie przetrwała ani tych kilku miesięcy. Dzięki tej „fincie” geniusz Balzaka nie tylko nie pozwolił sobie odkraść ani litery z dzieła, jakie miał do wydania na świat, ale jeszcze dorzucił doń paręset listów, ogłoszonych niedawno pt. *Lettres a l'Étrangère*. Ta odległa, tak „dekoracyjna” miłość, której promień przyświecał mu przez kilkanaście lat życia, pozwoliła Balzakowi obronić się ponętom świata i wytrwać w swojej celi pustelnika przy pracy pochłaniającej stale po kilkanaście godzin na dobę. W jaki sposób ten wielki samotnik potrafił w przelotnych skokach nurka w społeczeństwo wyłowić te arcydzieła przenikliwej, wszechstronnej i w każdym słowie nowej obserwacji, pozostaje tajemnicą osobliwych darów istoty twórczości.

Każda zatem z dwu figur Balzaka, będących bohaterami tych opowiadań, zawiera coś z niego samego. W intencjach autora Natan, ze swoim fałszywym i krótkotrwałym blaskiem, jest przeciwieństwem wytrwałego i świadomego siebie geniuszu Balzaka, d'Arthez zaś jego — może nieco chłodnym, jak zwykle u „dodatnich” typów Balzaka — urzeczywistnieniem. Ale w zewnętrzne koleje Natana wchodzi bardzo dużo z przejść samego autora, który przez całe życie tańczył pomiędzy kaprysami zbytku a grozą pozwów i komornika, i który w gorączce zdobycia „silnej pozycji” niejednokrotnie próbował się rzucić to w teatr, to w politykę, to wreszcie w awanturnicze przedsięwzięcia, które nieodmiennie kończyły się katastrofą. Bezład finansowego życia Balzaka stanął na przeszkodzie i jego ambicjom politycznym, i nawet wejściu do Akademii; niejednokrotnie — odbił się ujemnie na jego dziele, zmuszając do zbyt pospiesznego tworzenia i wypruwania sobie z wnętrzości niedonoszonych płodów. Co do wielu innych figur tych opowiadań, pamiętać należy, że wszystkie te postacie, jak pani d'Espard, Rastignac, Blondet, Lousteau, etc., to galeria Balzakowskiego świata, powtarzająca się w szeregu powieści, i że, tym samym, autor nie zadaje sobie trudu ponownego ich charakteryzowania.

<sup>3</sup>Słynna była w Paryżu legendarna laska Balzaka, niezmiernej grubości, o olbrzymiej złotej gałce, rzeźbionej i wysadzanej drogimi kamieniami otrzymanymi rzekomo od wielbicielek; wewnątrz gałka była próżna i zawierała skrytkę na „włosy kochanek”. Balzac z owym dziecinnym rozbawieniem i zapalczewością, jakie go cechują, tak przywiązany był do tej laski, iż w dniu, w którym zapomniał ją w dorożce, omal nie zemdlął. [przypis tłumacza]

Powtarzam zatem jeszcze raz to, na co zwracałem uwagę na innym miejscu, iż dzieło Balzaka trzeba brać jako całość; im bardziej czytelnik się w nie zagłębi, tym więcej znajdzie w nim zadowolenia, które hojnie opłaci poniesione trudy. Zatem, cierpliwości!

Boy.

Kraków, w listopadzie 1918.

## SEKRETY KSIĘŻNEJ DE CADIGNAN

Teofilowi Gautier

Po klęskach rewolucji lipcowej, która zniszczyła wiele arystokratycznych fortun podtrzymywanych przez Dwór, księżna de Cadignan miała ten spryt, aby złożyć na karb wypadków politycznych zupełną ruinę sprowadzoną swą własną rozrzutnością. Książę opuścił Francję wraz z rodziną królewską, zostawiając księżnę w Paryżu, nietykalną przez fakt jego nieobecności, ponieważ długi, na których umorzenie sprzedaż dóbr możebnych do sprzedania nie mogła wystarczyć, ciążyły tylko na nim. Dochody majoratu zajęto. Słowem, interesy tego wielkiego rodu znajdowały się w równie złym stanie, jak interesy starszej linii Burbonów.

Kobieta ta, tak sławna pod pierwszym nazwiskiem diuszesy de Maufrigneuse<sup>4</sup>, powzięła wówczas rozropne postanowienie, aby się usunąć w głębokie zacisze; chciała dać o sobie zapomnieć. Przez Paryż powiał tak zawrotny wicher wypadków, iż niebawem diuszesa de Maufrigneuse, zagrzebana w księżnej de Cadignan — zmiana nazwiska nieznaną większości nowych aktorów wypchniętych na widownięć przez rewolucję lipcową — stała się jak gdyby cudzoziemką.

We Francji tytuł diuka góruje nad wszystkimi innymi, nawet nad tytułem księcia, mimo że, wedle wiedzy heraldycznej wolnej od wszelkiego sofizmu, tytuły nie znaczą absolutnie nic, i że panuje zupełna równość między szlachtą. Cudowną tę równość podtrzymywał niegdyś starannie królewski dom francuski; za naszych dni istnieje ona jeszcze, przynajmniej nominalnie, w obyczaju, wedle którego królowie dają swoim dzieciom prosty tytuł hrabiów. W myśl tego to systemu Franciszek I zmiażdżył wspaniałość tytułów, jakimi się puszyl pompatyczny Karol V, podpisując swą odpowiedź: *Franciszek, pan na Vanves*. Ludwik XI uczynił jeszcze lepiej, wydając córkę za szlachcica bez tytułu, za Piotra de Beaujeu. Ludwik XIV złamał system feudalny tak gruntownie, iż tytuł *diuka* stał się w jego monarchii najwyższym zaszczytem arystokracji i najczęściej budzącym zazdrości. Mimo to istnieją we Francji dwie lub trzy rodziny, w których księstwo, bogato uposażone, stoi powyżej diukostwa. Dom Cadignan, który posiada tytuł diuka de Maufrigneuse dla starszych synów, gdy inni nazywają się po prostu kawalerami de Cadignan, jest jedną z tych wyjątkowych rodzin. Jak niegdyś dwaj książęta domu Rohan, książęta de Cadignan mieli prawo u siebie do tronu; mogli mieć paziów, szlachtę w swojej służbie. To wytłumaczenie jest potrzebne zarówno dla uniknięcia głupich krytyk ludzi nie mających o niczym pojęcia, jak dla stwierdzenia wielkich zabytków świata, który, jak powiadają, znika, a który tytu ludzi spycha w nicość, nie rozumiejąc go. Dzisiaj wobec znacznej ilości cudzoziemców napływających do Paryża oraz wobec powszechnej prawie ignorancji heraldycznej zaczyna wchodzić w modę tytuł księcia. Prawdziwymi książętami są tylko ci, którzy byli udzielnymi i którym przynależy tytuł *Wysokości*. Lekceważenie szlachty francuskiej dla tytułu księcia i raczej, jakie za Ludwika XIV stworzyły przewagę *diuka*, były powodem, iż Francja nie upomniała się o tytuł *Wysokości* dla tych kilku książąt, jacy istnieją we Francji, prócz napoleońskich. Oto przyczyna, dla której książęta de Cadignan znajdują się w niższej, mówiąc nominalnie, pozycji w stosunku do innych książąt kontynentu.

Osoby z towarzystwa tzw. *dzielnicy Saint Germain* miały względy dla księżnej przez szacunek dla jej nazwiska, jednego z tych, które czcić się będzie zawsze, dla jej nieszczęść, których już nie roztrząsano, oraz piękności, jedynej rzeczy, jaką zachowała ze zgasłego blasku. Świat, którego była wpróż ozdoba, miał dla niej uznanie, iż włożyła poniekąd welon

<sup>4</sup>*diuszesa de Maufrigneuse* — kobieta ta występuje także w innej powieści Balzaka: *Ostatnie wcielenie Vautrina*. [przypis edytorski]

klasztorny, zamykając się u siebie. Ten akt dobrego smaku był dla niej bardziej niż dla jakiegokolwiek innej ogromnym poświęceniem. Rzeczy wielkie znajdują zawsze we Francji tak żywe odczucie, iż księżna odzyskała swoim zamknięciem wszystko, co mogła stracić w mniemaniu publicznym za czasu swego blasku. Widywała tylko jedną z dawnych przyjaciółek, margrabinę d'Espard<sup>5</sup>; a i u niej nie bywała na wielkich zebraniach ani balach. Odwiedzały się wcześniej rano, jak gdyby w tajemnicy. Kiedy księżna była u przyjaciółki na obiedzie, margrabina nie przyjmowała nikogo. Pani d'Espard była idealna dla księżnej; zmieniła łożę we *Włoskim*, opuściła pierwsze piętro dla głębokiej łóżki na parterze, tak iż pani de Cadignan mogła przyjść do teatru, nie będąc widzianą i opuścić go incognito. Mało kobiet pozbawiłoby się satysfakcji wleczenia w swoim orszaku upadłej dawnej rywalki i głoszenia się jej dobrodziejką. Zwolniona w ten sposób od rujnujących tualet księżna korzystała poufnie z pojazdu margrabiny, którego nie byłaby przyjęła publicznie. Nikt nigdy nie dowiedział się pobudek pani d'Espard; ale postępowanie jej było szczytne i obejmowało przez długi czas cały świat drobniaków, które brane pojedynczo zdają się głupstwem, natomiast oglądane w sumie mają coś gigantycznego.

W r. 1832 trzy lata przyprószyły śniegiem awanturki diuszesy de Maufrigneuse i wybieliły ją tak dokładnie, iż trzeba było wielkich wysiłków pamięci, aby sobie przypomnieć drażliwe okoliczności jej poprzedniego życia. Z królowej ubóstwianej przez tylu dworaków i której wybrki mogłyby wypełnić liczne tomy romansów, została kobieta jeszcze rozkosznie ładna, licząca lat trzydzieści sześć, ale mająca wszelkie prawo przyznawać się tylko do trzydziestu, mimo że była matką diuka Jerzego de Maufrigneuse, dziewiętnastoletniego młodzieńca, pięknego jak Antinous i pełnego najświetniejszych nadziei. Matka chciała go przede wszystkim bogato ożenić. Być może projekt ten był tajemnicą zażyłości z margrabiną, której salon uchodzi za pierwszy w Paryżu i gdzie mogła z czasem wybrać między herytierami żonę dla Jerzego. Księżna widziała jeszcze pięć lat dzielących ją od małżeństwa syna; lat pustych i samotnych, aby bowiem zasłużyć dobre małżeństwo, prowadzenie jej musiało być bez zarzutu.

Księżna mieszkała przy ulicy de Miromesnil, zajmując za umiarkowaną cenę parter ładnego pałacyku. Umiała spożytkować ze smakiem resztki dawnej wspaniałości. Wytworność wielkiej damy oddychała tam jeszcze. Żyła otoczona pięknymi rzeczami, świadczącymi o wyższym typie istnienia. Na kominku widać było wspaniałą miniaturę, portret Karola X, pędzla pani de Mirbel, pod którą wyryte były te słowa: *Ofiarowane przez króla*; zaś, jako *pendant*, portret księżnej de Berni, która była dla niej tak szczególnie łaskawa. Na stole błyszczał album olbrzymiej ceny, jakiego żadna z mieszczek, królujących obecnie w naszym przemysłowym i wścibskim społeczeństwie, nie ośmieliłaby się pokazać publicznie. Odwaga ta cudownie malowała kobietę. Album zawierał portrety, między którymi znajdowało się ze trzydziestu bliskich przyjaciół, mienionych przez świat jej kochankami. Ta liczba była oszczerstwem; ale, co się tyczy jakiego tuzina, była to może, mówiła pani d'Espard, jedynie prosta obmowa. Portrety Maksyma de Trailles, de Marsaya, Rastignaka, margrabięgo d'Esgringon, generała Montriveau, margrabiów de Ronquerolles i d'Adjuda-Pinto, księcia Galathionne, młodych diuków de Grandlieu, de Rethore, pięknego Lucjana de Rubempre, były zresztą oddane z wielką kokieterią pędzla przez najsłynniejszych artystów. Ponieważ księżna przyjmowała ledwie parę osób z tej kolekcji, nazywała żartobliwie tę księgę katalogiem swych omyłek. Nieszczęście uczyniło tę kobietę dobrą matką. Przez piętnaście lat Restauracji nadto się bawiła, aby myśleć o synu; ale, cofnąwszy się w ustronie, ta świetna egoistka pomyślała, że uczucie macierzyńskie posunięte do ostatnich granic stałoby się dla jej życia rozgrzeszeniem; jest wielu ludzi tkliwego serca, którzy darowują wszystko wybornej matce. Kochała syna tym lepiej, ile że nie miała już nic innego do kochania. Jerzy de Maufrigneuse jest zresztą z tych dzieci, które mogą głaskać wszystkie macierzyńskie próżności; toteż księżna uczyniła dlań wszelkie poświęcenia. Zdobyła się dla Jerzego na stajnię i remizę, ponad którymi zajmował on sam apartament, złożony z trzech rozkosznie umeblowanych pokoi; nałożyła sobie wiele prywacji, aby zachować dlań konia pod siodło, kabriolet i małego grooma. Sama zatrzymała jedynie pokojówkę, za kucharkę zaś dawną dziewczynę kuchenną. Groom młodego

<sup>5</sup>margrabina d'Espard — postać ta pojawiła się także w innych powieściach Balzaka: *Stracone złudzenia* i *Ostatnie ucielenie Vautrina*. [przypis edytorski]

diuka miał wówczas służbę nieco ciężką. Toby, dawny groom *nieboszczyka* Beaudenord — jaki bowiem koncept obiegał w świecie na poczet tego zrujnowanego eleganta — ów młody groomik, który w dwudziestu pięciu latach zawsze uchodził za czternaście, musiał znaleźć czas na chędożenie koni, czyszczenie kabrioletu lub tilbury, towarzyszenie swemu panu, sprzątanie mieszkania i wystawanie w pokoju księżnej dla oznajmiania gości, jeżeli przypadkiem oczekiwała uroczystszej wizyty. Kiedy się pomyśli, czym była za Restauracji piękna diuszesa de Maufriigneuse, jedna z królowych Paryża, królowa pełna blasku, której zbytek zawstydziłby może najbogatsze damy Londynu, było coś niemal wzruszającego w tym skromnym gniazdku przy ulicy Miromesnil, o kilka kroków od jej wspaniałego pałacu, którego żadna fortuna nie była w stanie zamieszkać i który młot spekulantów zburzył, aby uczynić zeń ulicę. Kobieta zaledwie przyzwoicie obsłużona przez trzydziestu lokai, która posiadała najpiękniejsze salony, najładniejsze apartamenciki, buduariki w Paryżu, która dawała w nich tak wspaniałe zabawy, żyła w mieszkaniu z pięciu ubikacji: przedpokój, jadalnia, salon, sypialnia i gotownia z dwiema kobietami za całą usługę.

— Och, Diana jest cudowna dla syna — mówiła szczerwana kumosia, margrabina d'Espard — i to cudowna bez emfazy, czuje się szczęśliwa. Nikt nie byłby przypuścił, że ta kobieta tak lekka może być zdolna do postanowień przeprowadzonych z podobną wytrwałością; toteż nasz dobry arcybiskup otoczył ją opieką, robi co może dla niej, właśnie skłonił starą hrabinę de Cinq-Cygne, aby jej złożyła wizytę.

Przynajmniej to zresztą! Trzeba być królową, aby umieć abdykować i zstąpić z godnością z wysokiej pozycji, która nigdy nie jest zupełnie stracona. Ci tylko, którzy mają świadomość, iż są niczym przez siebie samych, okazują żal, upadając, lub też szemrzą i czepiają się przeszłości. Zmuszona obchodzić się bez rzadkich kwiatów, wśród których przyzwyczajona była żyć i które tak podnosiły urok jej osoby, ponieważ niepodobieństwem było nie porównywać jej do kwiatu, księżna dobrze wybrała swoje parterowe mieszkanie: miała przy nim ładny ogródek, pełen krzewów, z zielonym trawnikiem, który rozwesołał tę spokojną ustron. Mogła mieć około dwunastu tysięcy franków renty, a i na ten skromny dochód składało się roczne wsparcie wyznaczone przez starą księżnę de Navarreins, ciotkę po mieczu młodego diuka, oraz drugie wsparcie przesyłane przez księżnę d'Uxelles, z zapadłego majątku, gdzie ciułała tak, jak umiejcą ciułać stare księżne, których Harpagon mógłby być uczniem. Książę żył na obczyźnie, wciąż oddany na rozkazy swoich wygnanych panów, dzieląc ich złą dolę i służąc im z inteligentnym i bezinteresownym poświęceniem. Pozycja księcia de Cadignan umacniała jeszcze pozycję jego żony w Paryżu. U księżnej to, w jej mieszkaniu, generał, któremu winni jesteśmy zdobycie Afryki, miał, w czasie usiłowań księżnej de Berri w Wandei, narady z wodzami legitymistów, tak bardzo księżna znajdowała się na uboczu, tak mało smutne jej położenie budziło podejrzeń w obecnym rządzie. Widząc jak zbliża się straszliwe bankructwo miłości, owa *czterdziestka*, poza którą tak niewiele już istnieje dla kobiety, księżna rzuciła się w królestwo filozofii. Czytała, ona, która przez szesnaście lat objawiała największy wstręt do rzeczy poważnych. Literatura i polityka są dziś dla kobiet tym, czym niegdyś była dewocja, ostatnim schronieniem zalotności. W salonach mówiono, iż Diana chce pisać książkę. Od czasu jak z ładnej, uroczej kobiety księżna przeszła na *rozumną*, w oczekiwaniu aż czas jej minie zupełnie, uczyniła z przywileju bywania w swoim domu najwyższy zaszczyt, osobliwe wyróżnienie. Pod osłoną tych zajęć mogła oszukać jednego ze swych pierwszych kochanków, de Marsaya, najwplywowszą osobistość mieszczańskiej polityki ukoronowanej w lipcu 1830; przyjmowała go niekiedy wieczorem, podczas gdy marszałek i kilku legitymistów rozmawiało po cichu w jej sypialni o opanowaniu królestwa, rzeczy, której nie można było dokonać bez udziału idei, jedyne go czynnika powodzenia, o którym spiskowcy zapominali! Była to ładna zemsta ładnej kobiety, zażartować tak z pierwszego ministra, czyniąc zeń parawan dla spisku przeciw własnemu rządowi. Zdarzenie to, godne pięknych dni *Frondy*, stało się treścią najdowcipniejszego w świecie listu, który księżna napisała do *JEJMOŚCI*, zdając sprawę z negocjacji. Diuk de Maufriigneuse pospieszył do Wandei i zdołał wrócić potajemnie, nie skompromitowawszy się, ale nie uchylwszy się od podzielenia niebezpieczeństw *JEJMOŚCI*, która, na nieszczęście, odesłała go, skoro wszystko zdawało się stracone. Być może żarliwa czujność młodego człowieka byłaby udaremniła zdradę. Mimo iż ciężkie zaiste były winy diuszesy de Mau-

frigneuse w oczach mieszczańskiego świata, zachowanie syna wymazało je z pewnością w oczach arystokracji. Była w tym niewątpliwie szlachetność i wielkość, aby tak narazić jedyne go syna i dziedzica historycznego domu. Bywają osoby, rzekomo sprytne, które naprawiają błędy życia prywatnego usługami politycznymi i na odwrót; ale u księżnej de Cadignan nie było żadnego wyrachowania. Być może nie ma go tak samo u wszystkich, którzy postępują w ten sposób. Wypadki odgrywają dużą rolę w tych sprzecznościach.

Podczas pierwszych ładnych dni maja 1833, margrabina d'Espard i księżna kręciły się — nie można powiedzieć przechadzały — po jedynej ścieżce biegnącej dokoła trawnika, w blasku ostatnich promieni słonecznych, około drugiej po południu. Wygrzane słońcem mury tworzyły ciepłą atmosferę w tej małej przestrzeni, którą napępniały swą wonią kwiaty, dar margrabiny.

— Stracimy niebawem de Marsaya — rzekła pani d'Espard — a razem z nim uniknie ostatnia nadzieja losu dla diuka de Maufrigneuse; od czasu bowiem jak go tak dobrze wystrychnęłaś na dudka, ten wielki polityk rozkochał się w tobie na nowo.

— Mój syn nie pogodzi się nigdy z Orleanami — rzekła księżna — choćby miał umrzeć z głodu, choćbym ja miała pracować na niego. Ale Berta de Cinq-Cygne nie wydaje mu się niechętna.

— Dzieci — rzekła margrabina d'Espard — nie mają tych samych zobowiązań co ojcowie.

— Nie mówmy o tym — rzekła księżna. — O ile nie zdołam urobić margrabiny de Cinq-Cygne, ostatecznie mogę ożenić syna z jaką córką kowala, jak zrobił ten smarkacz d'Esgrignon!

— Czyś go kochała? — spytała margrabina.

— Nie — odparła poważnie księżna. — W naiwności d'Esgrignona było coś z prowincjonalnego dudka, na czym spostrzegłam się nieco za późno lub za wcześnie, jeżeli wolisz.

— A de Marsay?

— De Marsay bawił się mną jak lalką. Byłam taka młoda! Nie kochamy nigdy mężczyzn, którzy występują w roli guwernerów, nadto urażają nasze próżnostki. Oto niebawem trzy lata zupełnej samotności, i wierz mi, ten spokój nie miał w sobie nic przykrego. Tobie jednej ośmielię się powiedzieć, że tutaj czułam się szczęśliwą. Byłam znudzona adoracjami, zmęczona bez przyjemności, drażniona powierzchownymi wzruszeniami, którym serce było obce. Wszyscy mężczyźni, których znałam, wydali mi się mali, płacy, powierzchowni; żaden nie sprawił mi najłżejszej niespodzianki, żaden nie miał prostoty, wielkości, delikatności. Byłabym pragnęła spotkać kogoś, kto by mi zaimponował.

— Czyżby z tobą było tak jak ze mną — spytała margrabina — czyżbyś mimo chęci kochania nigdy nie napotkała miłości?

— Nigdy — odparła księżna, kładąc rękę na ramieniu margrabiny.

Usiadły na prostej drewnianej ławce, pod krzakiem rozkwitłego jaśminu. Obie wyrekły słowa uroczyste dla kobiet w ich wieku.

— Tak samo jak ty — ciągnęła księżna — wzbudziłam może więcej miłości niż inne kobiety; ale wśród tylu przygód, czuję to, nie poznałam szczęścia. Popelniłam dużo szaleństw, ale miały one cel, a ten cel oddalał się w miarę, jak się posuwałam! W zestarzałym moim sercu czuję niewinność, której nikt nie uszczknął. Tak, pod tyloma doświadczeniami spoczywa pierwsza miłość, którą można by obudzić; tak samo jak, mimo tylu skaz i udręczeń, czuję się młodą i ładną. Można kochać, nie będąc szczęśliwą, można być szczęśliwą i nie kochać; ale kochać i osiąść szczęście, skojarzyć te dwie olbrzymie rozkosze, to cud. Ten cud nie ziścił się dla mnie.

— Ani dla mnie — rzekła pani d'Espard.

— Prześladowuje mnie w moim schronieniu okropny żal: bawiłam się, ale nie kochałam.

— Cóż za nieprawdopodobny sekret! — wykrzyknęła margrabina.

— Och, droga — odparła księżna — takie sekrety możemy powierzyć tylko sobie wzajem: nikt w Paryżu nie uwierzyłby nam.

— I — rzekła margrabina — gdybyśmy nie przekroczyły obie trzydziestu sześciu lat, nie uczyniłybyśmy sobie może tego zwierzenia.



— Tak, kiedy jesteśmy młode, miewamy bardzo niemądre próżności! — Rzekła księżna. — Podobne jesteśmy nieraz do tych ubogich młodych ludzi, którzy bawią się wykałaczką, aby wmówić w publiczność, że jedli dobry obiad.

— Ostatecznie, żyjemy jeszcze — odparła z wyzywającym wdziękiem pani d'Espard, czyniąc prześliczny gest świadomej niewinności — i żyjemy, jak sądzę, na tyle, aby umieć znaleźć sobie odwet.

— Kiedyś mi powiedziała swego czasu, że Beatrix wyjechała z Contim, myślałam o tym całą noc. Trzeba być bardzo szczęśliwą, aby poświęcić w ten sposób pozycję, przyszłość i wyrzec się na zawsze świata.

— To gąska — odparła poważnie pani d'Espard. — Panna des Touches była uszczęśliwiona, iż pozbyła się Contiego. Beatrix nie domyśliła się, jak bardzo ta rezygnacja niepospolitej kobiety, która nie broniła ani przez chwilę rzekomego szczęścia, wskazywała na nicość Contiego.

— Będzie tedy nieszczęśliwa?

— Już jest — odparła pani d'Espard. — Po co rzucać męża? Czyż to nie jest u kobiety przyznanie się do niemocy?

— Przypuszczam zatem, że pobudką pani de Rochefide nie była chęć kosztowania w spokoju doskonałej miłości, tej miłości, której słodycze są dla nas obu jeszcze tylko marzeniem?

— Nie, małpowała po prostu panią de Beuseant i panią de Langeais, które, mówiąc między nami, w epoce mniej pospolitej niż nasza byłyby, jak i ty zresztą, postaciami równie wielkimi jak la Valliere, Montespan, Diana de Poitiers, księżna d'Estampes i de Chateauroux.

— Tylko bez króla, moja droga. Ach! Chciałabym móc wywołać te kobiety i spytać ich, czy...

— Ależ — rzekła margrabina, przerywając — nie potrzeba świadectwa zmarłych, znamy kobiety żyjące, które są szczęśliwe. Oto już więcej niż dwadzieścia razy wyciągam na zwierzenia hrabinę de Montcornet, która od piętnastu lat jest najszczęśliwszą w świecie ze swoim Emilkiem Blondet: ani najłżejszej niewierności, ani jednej postronnej myśli; są tak, jak byli pierwszego dnia; podczas gdy nam zawsze przeszkadzano, przerywano w najbardziej zajmującym momencie. Te długie przywiązania, takie jak Rastignaka i pani de Nucingen, jak twojej kuzynki, pani de Camps i jej Oktawa, mają jakąś tajemnicę, a tej tajemnicy my, moja droga, nie znamy... Świat czyni nam niezmierny zaszczyt, aby nas brać za rozpustnice godne dworu Regenta, podczas gdy jesteśmy niewinne jak dwie pensjonarki.

— Szczęśliwa byłabym jeszcze z takiej niewinności — wykrzyknęła szyderczo księżna — ale nasza jest gorsza, upokarzająca. Cóż chcesz? Ofiarujmy Bogu to umartwienie jako pokutę za nasze bezowocne poszukiwania; nie jest bowiem prawdopodobne, moja droga, abyśmy w jesieni życia znalazły piękny kwiat, którego nam brakło w czasie wiosny i lata.

— Nie w tym kwestia — odparła margrabina po pauzie pełnej zadumy. — Jesteśmy jeszcze dość piękne, aby obudzić miłość; ale nie przekonamy nigdy nikogo o naszej niewinności ani cnotcie.

— Gdyby to było kłamstwo, nic łatwiejszego jak ozdobić je komentarzem, podać z ładną zaprawą, która je czyni wiarogodnym i pozwala przełknąć niby rozkoszny owoc; ale kazać uwierzyć w prawdę! Och! Najwięksi ludzie załamali się na tym — dodała księżna z owym głębokim uśmiechem, który zdołał oddać jeden tylko pędzel Leonarda da Vinci.

— Głuptasy umieją niekiedy dobrze kochać — podjęła margrabina.

— Ale — zauważyła księżna — na to nawet głuptas nie jest dość łatwowiernym.

— Masz słuszność — rzekła, śmiejąc się, margrabina. — Ale bo też nie głupca ani nawet nie człowieka z talentem trzeba nam szukać. Aby rozwiązać podobny problem, trzeba nam człowieka genialnego. Geniusz jedynie posiada dziecięcą wiarę, religię miłości i pozwala sobie chętnie wiązać oczy. Otóż jeżeli spotykałyśmy niekiedy ludzi genialnych, byli oni może zbyt daleko od nas, zbyt zajęci, a my zbyt puste, zbyt rozbawione, zbyt pochłonięte...

— Ach! Nie chciałam jednak rozstać się ze światem, nie poznawszy rozkoszy prawdziwej miłości — wykrzyknęła księżna.

— Budzić miłość to nic — rzekła pani d'Espard — chodzi o to, aby ją czuć. Znam wiele kobiet, które są jedynie pretekstem uczucia, zamiast być równocześnie jego przyczyną i skutkiem.

— Ostatnia namiętność, jaką wzbudziłam, to była święta i piękna rzecz — rzekła księżna — miała przyszłość. Przypadek dał mi w ręce tym razem owego genialnego człowieka, do którego mamy prawo, a którego tak trudno pochwycić, ponieważ więcej jest ładnych kobiet niż geniuszów. Ale diabeł wmieszał się w tę sprawę.

— Opowiedz, droga, to coś dla mnie zupełnie nowego.

— Spozrzęgałam się na tej pięknej miłości dopiero w zimie 1829 r. Co piątek, w operze, widziałam w parterowych krzesłach młodego człowieka lat około trzydziestu, przybyłego tam dla mnie, zawsze w tej samej stalli, wpatrującego się we mnie oczyma z płomienia, ale często zasmuconego oddaleniem między nami lub może też i brakiem wszelkiej nadziei.

— Biedny chłopiec! Kto kocha, robi się bardzo niemądry — rzekła margrabina.

— Prawie w każdym międzyakcie wsuwał się w korytarz — podjęła księżna, uśmiechając się z przyjacielskiego docinku margrabiny — czasem, aby mnie widzieć lub aby zwrócić na siebie uwagę, przykładał twarz do szybki w łoży naprzeciw mojej. Kiedy przychodził ktoś do mnie, widziałam, jak czatował tuż u drzwi: wówczas mógł mi rzucić ukradkowe spojrzenie; nauczył się w końcu poznawać moich znajomych, szedł za nimi, kiedy się kierowali w stronę łoży, aby wyzyskać moment uchylecia drzwi. Biedny chłopiec dowiedział się zapewne niebawem, kim jestem, znał bowiem z widzenia p. de Maufrigneuse i mego teścia. Od tego czasu widywałam tajemniczego nieznajomego we *Włoskim*, w stalli, z której podziwiał mnie prosto w twarz w naiwnym zachwyceniu: bajeczny był po prostu! Przy wyjściu z opery, tak samo jak z farsy, widziałam go wciśniętego w tłum, w nieruchomej postawie; popychano go, poszturchiwano, nie drgnął. Oczy jego zasnuwały się mgłą, gdy mnie widział wspartą na ramieniu jakiego oblubieńca. Poza tym ani słowa, żadnego listu, znaku. Przyznaj, że to było w dobrym guście. Niekiedy, wjeżdżając rano do pałacu, widziałam nieznajomego siedzącego na kamiennym słupku koło bramy! Wielbiciel ten miał bardzo ładne oczy, długą i gęstą brodę w kształcie wachlarza, wąsy i faworyty; widać było jedynie białe policzki i ładne czoło; prawdziwa głowa antyczna. Jak ci wiadomo, książę w czasie dni lipcowych bronił Tuillerii od strony wybrzeża. Wrócił wieczorem do Saint-Cloud, kiedy wszystko było stracone. „Wiesz, moja droga, rzekł, omal mnie nie zabito około czwartej; mierzył do mnie jeden z powstańców, kiedy młody człowiek z długą brodą, którego, zdaje mi się, widywałam we *Włoskim* i który prowadził atak, odwrócił lufę”. Strzał ugodził nie wiem już kogo, jakiegoś kwatermistrza, dwa kroki od męża. Ten młody człowiek musiał być tedy republikaninem. W r. 1831, kiedy osiedliłam się tutaj, spotkałam go opartego plecami o mur tego domu; zdawał się rad z moich nieszczęść, które, być może, dawały mu nadzieję zbliżenia; ale od czasu sprawy w Saint-Merry nie widziałam go już: zginął tam. W wilię pogrzebu generała Lamarque wysłałam piechotę z synem; republikanin towarzyszył nam to z tyłu, to przed nami, od św. Magdaleny aż do pasażu Panoramy.

— To wszystko? — rzekła margrabina.

— Wszystko — odparła księżna. — A! Prawda: w dzień zdobycia Saint-Merry jakiś chłopiec zażądał koniecznie widzieć mnie samą; oddał mi list kreślony na pospolitym papierze, podpisany nazwiskiem nieznajomego.

— Pokaż mi go — rzekła margrabina.

— Nie, moja droga. Zbyt wielką i zbyt świętą była miłość tego człowieka, abym pogwałciła jego tajemnicę. Ten krótki i straszliwy list szarpie mi serce, kiedy pomyślę o nim. Ten nieboszczyk przyprawia mi więcej wyrzutów niż wszyscy żywi, często myślę o nim.

— A nazwisko jego? — spytała margrabina.

— Och! Bardzo pospolite, Michał Chrestien.

— Dobrze, żeś mi je powiedziała — odparła żywo pani d'Espard — często słyszałam o nim. Ów Michał Chrestien był przyjacielem sławnego człowieka, którego już kiedyś

chciałaś poznać, Daniela d'Arthez<sup>6</sup>: bywa u mnie raz albo dwa razy w ciągu zimy. Ów Chrestien, który w istocie padł w Saint-Merry, miał sporo przyjaciół. Słyszałam zdanie, że był to jeden z tych wielkich polityków, którym, jak de Marsayowi, brakło jedynie balonu okoliczności, aby się stali od razu tym, czym być mieli.

— Lepiej w takim razie, że umarł — rzekła księżna melancholijnym tonem, pod którym ukryła swą myśl.

— Chcesz spotkać się któregoś wieczora z d'Arthezem u mnie? — spytała margrabina; porozmawiasz o swoim upiorze.

— Chętnie, moja droga.

W kilka dni po tej rozmowie Blondet i Rastignac, którzy znali d'Artheza, przyrzekli pani d'Espard, iż nakłonią go, aby przyjął zaproszenie na obiad. Przyrzeczenie to byłoby z pewnością nierozważne, gdyby nie nazwisko księżnej, której spotkanie nie mogło być wielkiemu pisarzowi obojętne.

Daniel d'Arthez, jeden z rzadkich za naszych czasów ludzi, którzy łączą charakter z talentem, uzyskał już wprawdzie nie całą popularność, jaką miały mu zjednać jego dzieła, ale pełne szacunku uznanie wybranych dusz. Rozgłos jego niewątpliwie urośnie jeszcze, ale wówczas osiągnął w oczach znawców swego szczytu: istnieją autorowie, którzy wcześniej lub później zajmują swe prawdziwe miejsce i już się zeń nie ruszają. Szlachcic z rodu, ale biedny, zrozumiał epokę i liczył wyłącznie na osobiste talenty. Walczył przez długi czas na arenie paryskiej, wbrew woli bogatego wuja, który przez sekret łatwej do zrozumienia próżności, zostawiwszy go długo na pastwę nędzy, zapisał sławnemu człowiekowi fortunę, której odmawiał nieznanemu pisarzowi. Ta nagle zmiana nie zmieniła obyczajów Daniela: wiódł dalej swoje prace z prostotą godną starożytności i nałożył sobie nowe, przyjmując mandat do Izby, gdzie zajął miejsce po prawicy. Od czasu dojścia do sławy pokazywał się niekiedy w świecie. Jeden z jego starych przyjaciół, wielki lekarz, Horacy Bianchon<sup>7</sup>, zapoznał go z baronem de Rastignac, podsekretarzem stanu w ministerstwie i przyjacielem de Marsaya. Ci dwaj politycy zgodzili się dość wspaniałomyślnie, aby Daniel, Horacy i kilku bliskich przyjaciół Michała Chrestien przenieśli ciało republikanina do kościoła w Saint-Merry i uczcili je pogrzebem. Wdzięczność za przysługę, która stanowiła kontrast z represjami owej epoki gwałtownych namiętności politycznych, związała, można powiedzieć, d'Artheza z Rastignakiem. Podsekretarz stanu i znakomity minister byli zanedo zrzętni, aby nie skorzystać z tego; toteż zjednali sobie kilku przyjaciół Michała Chrestien, którzy nie dzielili zresztą jego poglądów i którzy zbliżyli się z nowym rządem. Jednego z nich, Leona Giraud, zamianowano zrazu referendarzem, potem radcą stanu. D'Arthez pochłonięty jest całkowicie pracą, widuje społeczeństwo jedynie urywkami, jest ono dlań niiby sen. Dom jego to klasztor, w którym pędzi życie benedyktyńska; ta sama surowość, ta sama regularność. Przyjaciele jego wiedzą, że aż dotąd kobieta była dlań jedynie przygodnym zjawiskiem zawsze budzącym lęk; nadto się jej przyglądał, aby się nie miał jej obawiać; ale tak długo ją studiował, aż w końcu przestał zupełnie ją znać, podobny w tym do owych głębokich taktyków, zawsze ponoszących klęskę na nieprzewidzianym terenie, gdzie ich pewniki naukowe ulegają zmianom i sprzecznościom. Ten najprzenikliwszy obserwator został zarazem najnaiwniejszym dzieckiem. Ten kontrast, na pozór niemożliwy, bardzo jest zrozumiały dla tych, którzy zdolali pojąć głębię dzielącą myśl od uczucia: jedna pochodzi z głowy, drugie z serca. Można być wielkim człowiekiem i niegodziwcem, jak można być głupcem i cudownym kochankiem. D'Arthez jest jednym z tych uprzywilejowanych, u których bystrość inteligencji, pojemność mózgu, nie wykluczają siły ani głębi uczuć. Jest mocą rzadkiego daru równocześnie człowiekiem czynu i myśli. Życie jego prywatne jest szlachetne i czyste. Jeżeli starannie uciekał przed miłością aż dotąd, to dlatego, iż znał się dobrze; wiedział z góry, jaką władzę zdobyłaby nad nim namiętność. Przez długi czas wyczerpujące prace, za pomocą których przygotował pewny grunt dla swoich chlubnych dzieł, jak również chłód nędzy, były cudownym środkiem ochronnym. Kiedy przyszedł dostatek, d'Arthez zawiązał najbardziej pospolity i niezrozumiały stosunek z kobietą dość ładną, ale niskiej klasy, bez wykształcenia, bez obycia; który to

<sup>6</sup>Daniel d'Arthez — postać ta pojawia się również w innym dziele Balzaka: *Stracone złudzenia*. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Horacy Bianchon — postać ta pojawia się również w innych dziełach Balzaka: *Ojciec Goriot* i *Muza z zaścianka*. [przypis edytorski]

stosunek ukrywał zresztą starannie przed ludźmi. Michał Chrestien przyznawał genialnym ludziom władzę przeobrażenia najbardziej gnuśnych istot w sylfidy, gęsi w kobiety rozumne, chłopiek w markizy: im bardziej kobieta jest doskonała, tym więcej traci w ich oczach; wówczas bowiem — mówił — wyobraźnia nie ma nic do roboty. Aby usprawiedliwić d'Artheza, powoływał się na przykład Rafaela i Fornariny. Byłby mógł podać jako przykład samego siebie, on, który widział anioła w księżnej de Maufrigneuse. Dziwaczny kaprys d'Artheza można było zresztą usprawiedliwić rozmaicie; może zwątpił zasadniczo w spotkanie tu na ziemi kobiety, która by odpowiadała rozkosznej chimerze, jaką każdy człowiek wyższy śni i pieści; może miał serce zbyt drażliwe, zbyt delikatne, aby się wydać w ręce światowej damy; może wołał dać upust naturze, a zachować w duszy swój ideał; może usunął ze swego życia miłość jako niedającą się pogodzić ze swymi pracami, z regularnością mniszego trybu, w którym namiętność byłaby wszystko zburzyła. Od kilku miesięcy d'Arthez był przedmiotem drwin Blondeta i Rastignaka, którzy mu wytykali, że nie zna ani świata, ani kobiet. Wedle ich sądu działał już dosyć, aby sobie pozwolić na rozrywkę: miał ładny majątek, a żył jak student; nie używał niczego, ani swego złota, ani sławy; nie znał słodczy szlachetnego i delikatnego uczucia, jakie tylko kobiety dobrze urodzone i wychowane umieją obudzić lub odczuwać; czyż to nie jest niegodne jego, znać jedynie najgrubszą stronę miłości! Miłość, sprowadzona do tego, czym czyni ją natura, była w ich oczach rzeczą najgłupszą w świecie. Jedną z chwał społeczeństwa jest to, iż wyhodowało *kobietę* tam, gdzie natura stworzyła samice; iż stworzyła ciągłość pragnienia tam, gdzie natura myślała jedynie o ciągłości gatunku; słowem, iż wymyśliła miłość, najpiękniejszą ludzką religię. D'Arthez nie znał owych uroczych delikatności języka, owych nieustających całopaleń uczucia; owych wysubtelnionych pragnień, anielskich kształtów, jakich wytworne kobiety umieją jej użyć. Znał może kobietę, ale nie znał bóstwa. Aby osiągnąć ideał miłości, trzeba u kobiety niesłychanie dużo sztuki, pięknych tualet duszy i ciała! Słowem, sławiąc rozkoszne duchowe deprawacje paryskiej zalotności, kusicieli ubolewali nad d'Arthezem, który żył zdrowym i prostym pokarmem, iż nie kosztował jeszcze rozkoszy wysokiej kuchni paryskiej i podniecali żywo jego ciekawość. Doktor Bianchon, przed którym d'Arthez się wywnętrzał, wiedział, iż ta ciekawość obudziła się wreszcie. Długi stosunek tego wielkiego pisarza z pospolitą kobietą nie tylko nie wyrodził się w powab przyzwyczajenia, ale był mu nieznośny; wstrzymywała go tylko nadmierna nieśmiałość, której pastwą stają się wszyscy samotnicy.

— Ba — mówił Rastignac — kiedy ktoś pieczętuje się starym pikardyjskim herbem, czemu miałby sobie odmówić przyjemności pomieszczenia go na drzwiczkach pojazdu! Masz trzydzieści tysięcy renty i dochody z pióra; usprawiedliwiłeś swą dewizę, która tworzy kalambur tak poszukiwany przez naszych przodków: *ARS THESAURUSQUE VIRTUS*, i nie paradujesz w kolasce w Lasku Bulońskim! Żyjemy w epoce, w której cnota winna się pokazywać.

— Gdybyś czytywał swoje dzieła tej grubawej klempie, która ci daje kosztować ziemskich rozkoszy, darowałbym ci, że się jej trzymasz — rzekł Blondet. — Ale, mój drogi, jeżeli jesteś na suchym chlebie w znaczeniu materialnym, w zamian pod względem duchowym wcale nie masz chleba...

Ta przyjacielska wojna podjazdowa między Danielem a jego druhami trwała od kilku miesięcy, kiedy pani d'Espard poprosiła Rastignaka i Blondeta, aby ściągnęli do niej d'Artheza na obiad, dodając, iż księżna de Cadignan niezmiernie pragnie poznać tę sławę. Ciekawość taka jest dla pewnych kobiet tym, czym latarnia magiczna dla dzieci; przyjemnością dla oczu, dość ubogą zresztą i pełną rozczarowań. Im więcej utalentowany człowiek rodzi uczuć na odległość, tym mniej odpowie im z bliska; im bardziej wyobrażano go sobie błyszczącym, tym bardziej będzie matowym. Pod tym względem zawiedziona ciekawość posuwa się często aż do niesprawiedliwości. Ani Blondet, ani Rastignac nie mogli oszukać d'Artheza, ale powiedzieli mu ze śmiechem, iż nastęcza mu się najbardziej pożądana sposobność ucywilizowania swego serca oraz poznania najwyższych rozkoszy, jakie daje miłość paryskiej damy. Księżna jest w nim formalnie zakochana; wszelkie obawy są zbyteczne, może tylko zyskać na poznaniu; niepodobieństwem mu będzie zstąpić z piedestału, jaki mu wzniosła pani de Cadignan. Blondet ani Rastignac nie mieli żadnych skrupułów, ubierając księżnę w tę improwizowaną miłość; mogła udźwignąć to oszczerstwo, ona, której przeszłość była tak obfita! Na wyprzedki zaczęły opowiadać d'Arthezowi

przygody księżnej: pierwszą z de Marsayem, drugą z margrabią d'Ajuda, którego odebrała żonie, mszcząc w ten sposób panią de Beauseant, trzeci stosunek z młodym d'Esgrignon, który towarzyszył jej do Włoch i straszliwie naraził się dla niej; jak potem była nieszczęśliwa ze sławnym ambasadorem, szczęśliwa z generałem rosyjskim; jak była Egerią dwóch ministrów spraw zagranicznych, etc. D'Arthez rzekł, iż wie o niej więcej, niż mogliby mu powiedzieć, a to przez swego biednego przyjaciela, Michała Chrestien, który ubóstwiał księżnę tajemnie cztery lata i omal tego nie przypłacił szaleństwem.

— Towarzyszyłem mu często — rzekł Daniel — do *Włoskiego*, do opery. Nieszczęśliwy biegł ze mną przez ulicę, pędząc na równi z końmi i podziwiając księżnę przez szyby karety. Tej to miłości książę de Cadignan zawdzięcza życie: Michał przeszkodził, aby go jakiś ulicznik nie zabił.

— No więc! Będziecie mieli gotowy temat — rzekł, uśmiechając się, Blondet. — Oto kobieta, jakiej ci potrzeba: będzie okrutna jedynie przez delikatność i wtajemniczy cię bardzo wdzięcznie w sekrety elegancji; ale strzeż się! Pożarła już niejedną fortunę. Piękna Diana jest jedną z tych rozrzutnic, które nie kosztują ani centyma, a dla których wydaje się miliony. Oddaj się ciałem i duszą, ale trzymaj w garści pieniądze.

Po tej rozmowie księżna zyskała w oczach artysty głębię otchłani, wdzięk królowej, zepsucie dyplomacji, tajemniczość kultu, niebezpieczeństwo syreny. Ci dwaj bywalcy, niezdolni przewidzieć następstw tego żartu, zrobili z Diany d'Uxelles najbardziej potworną Paryżankę, najrzęczniejszą kokietkę, najbardziej upajającą w świecie kurtyzanę. Mimo iż mieli słuszność, kobieta, którą traktowali tak lekko, była dla d'Artheza świętą i nietykalną; zresztą ciekawość pisarza nie potrzebowała takiej podniety; zgodził się przyjść bez wahania, dwaj przyjaciele zaś nie żądali odeń czego więcej.

Skoro pani d'Espard miała już odpowiedź, udała się do księżnej.

— Moja droga, czy czujesz się w wienie urody, zalotności? — rzekła — przyjdź do mnie za kilka dni na obiad, a uraczę cię d'Arthezem. Nasz genialny człowiek jest co się zowie dziki, boi się kobiet i nigdy nie kochał. Zbuduj plan w tym duchu. Jest nadzwyczaj inteligentny, przy tym ma prostotę, która wprowadza w błąd, odejmując wszelką nieufność. Przenikliwość jego, na wskroś retrospektywna, działa wstecz i niweczy wszelkie rachuby. Zaskoczyłaś go dziś, jutro już przejrzał wszystko.

— Och! Gdybym miała trzydzieści lat, zabawiłabym się przednio. Czego mi brakowało aż dotąd, to genialnego człowieka, którego bym mogła wywieść w pole. Miałam zawsze tylko partnerów, a nigdy przeciwników. Miłość była grą, zamiast być walką.

— Przyznaj, droga, że jestem bardzo wspaniałomyślna? Ostatecznie bowiem... miłość bliźniego zaczyna się...

Obie kobiety spojrzały sobie w oczy, śmiejąc się, i ujęły się za ręce z przyjaznym uściskiem. Niewątpliwie musiały je łączyć ważne sekrety, nie pierwszy to był mężczyzna i nie pierwsza usługa między nimi; aby bowiem między kobietami stworzyć szczerą i trwałą przyjaźń, trzeba, aby ją pieczętowały jakie małe zbrodnie. Kiedy dwie przyjaciółki mogły się zabić wzajem i każda widzi zatruty szept w ręku drugiej, wówczas przedstawiają wzruszający widok harmonii, która mąci się aż w chwili, gdy jedna z nich przez nieuwagę wypuści broń.

Zaczem w tydzień później odbył się u margrabinie wieczór w *małym kółku*, w jednym z dni zachowanych dla najbliższych, w które nikt nie zjawia się bez ustnego zaproszenia i podczas których drzwi są zamknięte. Zaproszonych było pięć osób: Emil Blondet i hrabina de Montcornet, Daniel d'Arthez, Rastignac i księżna de Cadignan. Licząc panią domu, było tyłuż mężczyzn co kobiet.

Nigdy traf nie pozwolił sobie na bardziej wyszukane przygotowania niż w tym spotkaniu d'Artheza i pani de Cadignan. Księżna uchodzi dziś jeszcze za jedną z największych mistrzyń toalety, co dla kobiet jest pierwszą ze sztuk. Włożyła suknię z niebieskiego aksamitu z powłóczytymi białymi rękawami, z tiulowym lekko marszczonym kołnierzem. Niebieski szlak sięgał na cztery palce poniżej szyi i pokrywał ramiona, jak na niektórych portretach Rafaela. Pokojówka upięła kilka białych kwiatów pomiędzy kaskadami blond włosów: jeden z wdzieków, którym księżna zawdzięcza swą sławę. To pewna, iż Diana nie wyglądała ani na dwadzieścia pięć lat. Cztery lata samotności i spoczynku wróciły blask jej cerze. Czyż nie bywają zresztą chwile, w których chęć podobania się daje kobietom jakąś nową piękność? Jeżeli gwałtowne wzruszenia mogą przyciemnić białe tony u san-

gwiników lub melancholików, pozielenić twarze limfatyczne, czyliż pragnienie, radość, nadzieja nie mogą mieć daru rozjaśnienia cery, ozłocenia spojrzeń żywszym blaskiem, okraszenia piękności niby światłem pięknego poranka? Słynna białość księżnej przybrała odcień dojrzałości, który dawał jej wyraz dostojności. W tym momencie życia, kiedy przeszła przez tyle prób, tyle poważnych myśli, czoło jej, marzące i wyniosłe, cudownie się godziło z błękitnym, spokojnym i majestatycznym spojrzeniem. Najbieglejszy fizjognomista nie wyczytałby śladu rachuby ani decyzji pod tą niesłychaną delikatnością rysów. Bywają twarze kobiece, które spokojem swoim i subtelnością oszukują wiedzę i myśl obserwację; trzeba by je śledzić podczas gry namiętności, co jest trudne; lub też po ukończonej grze, co nie zda się na nic: wówczas kobieta jest stara i już się nie maskuje. Księżna jest jedną z tych nieprzeniknionych kobiet, może się zrobić, czym chce: pusta, dziecinna, rozpaczliwie niewinna lub też subtelna, poważna, głęboka wręcz niepokojąco. Przybyła do margrabin w charakterze słodkiej i prostej kobiety, znającej życie jedynie przez swoje zawody, w charakterze kobiety pełnej duszy; spotwarzonej, ale dźwigającej to z rezygnacją, niby umęczony anioł. Przybyła wcześniej, aby zawczasu upozować się na kozetce, przy kominku, w pobliżu pani d'Espard, tak jak chciała, aby ją widziano, w pozie, której sztuka kryje się pod uroczą naturalnością, jednej z tych póz ułożonych, wyszukanych, uwydatniających piękną wężową linię, która zaczyna się u stopy, wstępuje wdzięcznie do bioder i wiedzie się poprzez czarujące okrągłości aż do ramion, wydając spojrzeniom cały profil ciała. Kobieta naga byłaby mniej niebezpieczna niż w spódnicy tak umiejętnie rozłożonej, która wszystko pokrywa i wszystko uwydatnia zarazem. Przez wyrafinowanie, na które wiele kobiet nie byłoby wpadło, Diana, ku wielkiemu zdumieniu margrabin, przysłała w towarzystwie młodego de Maufrigneuse. Po chwili zastanowienia pani d'Espard uściśnęła rękę księżnej porozumiewawczo.

— Rozumiem cię! Dając przełknąć d'Arthezowi wszystkie trudności od pierwszego razu, nie będziesz zmuszona pokonywać ich później.

Hrabina de Montcornet przysłała z Blondetem. Rastignac przyprowadził d'Artheza. Księżna nie przyjęła sławnego człowieka żadnym z owych komplementów, jakimi zasypują go ludzie pospolici; ale rozwinęła dlań względy nacechowane wdziękiem i szacunkiem, będące wyraźnie ostatnim kresem jej łaski. Zdawała się szczęśliwa, iż widzi tego wielkiego człowieka, i rada, iż go szukała. Osoby pełne smaku, jak księżna, odznaczają się zwłaszcza sposobem słuchania, pełną powagi i wdzięku uprzejmością. Kiedy sławny człowiek mówił, przybierała uważną pozę, pochlebniejszą niż najlepiej dobrane komplementy. Margrabina dopełniła prezentacji bez emfazy i z prostotą. Przy obiedzie posadzono d'Artheza obok księżnej, która, daleka od przesadnej wstrzemięźliwości, na jaką siłą się wytwornisie, jadła z doskonałym apetytem i starała się we wszystkim okazać kobietą prostą, bez pretensji. Między jednym a drugim daniem skorzystała z chwili, gdy rozmowa stała się ogólną, aby nawiązać z d'Arthezem parę słów na osobności.

— Przyjemność, jaką znalazłam w spotkaniu z panem — rzekła — zdwaja się chęcią dowiedzenia się czegoś o nieszczęśliwym przyjacielu pana, poległym za sprawę inną niż nasza, ale wobec którego zaciągnęłam wielkie zobowiązania, bez możliwości podziękowania i wypłacenia się. Książę de Cadignan podzielał mój żal. Wiem, że pan byłeś jednym z najlepszych przyjaciół biednego chłopca. Nie zadziwi tedy pana, że pragnęłabym wiedzieć wszystko, co mógłbyś mi powiedzieć o tym, który ci jest tak drogi. Jestem przywiązana do wygnanej rodziny i uchodzę za monarchistkę; ale to nie znaczy, abym była z liczby tych, którzy myślą, iż niepodobna jest być równocześnie republikaninem i szlachetnym człowiekiem. Monarchia i republika to jedyne dwie formy rządu, które nie dławią wzniosłych uczuć.

— Michał Chrestien był aniołem — odparł Daniel wzruszonym głosem. Nie znam wśród bohaterów starożytności człowieka, który by był odeń wyższy. Niech pani nie uważa go za jednego z owych ciasnych republikanów, którzy by chcieli przywrócić Konwent i miłe procedury *Komitetu Ratunku Publicznego*; nie, Michał marzył o Federacji Szwajcarskiej zastosowanej do całej Europy. Przyznajmy to między nami: po wspaniałym rządzie jednego człowieka, który, jak sądzę, najbardziej odpowiada naszemu krajowi, system Michała jest zniesieniem wojny w starym świecie i jego odbudowaniem na podstawach innych niż zasady podboju, z których wywiódł się niegdyś ustrój feudalny. Republikanie byli z tego tytułu ludźmi najbardziej bliskimi jego idei: oto, czemu użyczył mi ramienia

w lipcu i pod Saint Merry. Mimo że krańcowo sprzecznych przekonań, pozostaliśmy w ścisłej zażyłości.

— To najpiękniejsza pochwała obu charakterów — rzekła nieśmiało pani de Cadignan.

— W czterech ostatnich latach życia — odparł Daniel — mnie jednemu zwierzył się z miłości do pani, a zwierzenie to zacieśniło bardzo już silne więzy braterskiej przyjaźni.

On jeden, pani, kochał panią tak, jak pani powinna być kochaną. Ileż razy mokłem na deszczu, biegnąc wraz z nim za pani powozem aż do pałacu, idąc w szybkości o lepsze z końmi, aby utrzymać się na tej samej linii i móc panią widzieć i podziwiać.

— Ależ, panie — rzekła księżna — czym ja się wyplacę...

— Czemuż Michała nie ma tutaj! — Odparł Daniel z akcentem melancholii.

— Nie byłby mnie może długo kochał — rzekła księżna, potrząsając głową ruchem pełnym smutku. — Republikanie są jeszcze bardziej absolutni w swoich ideach niż my absolutyści, którzy grzeszymy pobłażaniem. Marzył pewnie o mnie jako o istocie doskonałej, byłby doznał okrutnych rozczarowań. Nas, kobiety, ściga tyleż oszczerstw, ile wy ich musicie znieść w życiu literackim, a my nie możemy się bronić ani sławą, ani dziełami. Stajemy się dla ludzi nie tym, czym jesteśmy, ale czym świat nas zrobi. Nieznana kobieta, która jest we mnie, zginęłaby niebawem jego oczom pod fałszywym portretem kobiety urojonej, która jest prawdziwą dla świata. Uznałby mnie niegodną szlachetnych uczuć, jakie miał dla mnie, niezdolną go zrozumieć.

Tu księżna potrząsnęła głową, poruszając prześlicznym gestem piękne blond pukle. Ile rozpaczliwego zwątpienia, ukrytych bólów wyrażała w tej chwili, tego nie da się wymówić. Daniel zrozumiał wszystko; popatrzył na nią z żywym wzruszeniem.

— Mimo to w dniu, w którym go ujrzałam, na długo po buncie lipcowym — podjęła — byłam już skłonna ulec pragnieniu, jakie mnie parło, aby go ująć za rękę, aby mu ją uściśnąć w obliczu całego świata, pod perystylem włoskiego teatru, podając mu wiązanek kwiatów, które miałam w ręku. Pomyślałam, że ten objaw wdzięczności źle by zrozumiano, jak tyle innych szlachetnych rzeczy, które uchodzą dziś za szaleństwa pani de Mauffigneuse i których nigdy nie będę mogła wytłumaczyć, jedynie bowiem mój syn i Bóg będą mnie znali kiedykolwiek.

Słowa te, wyszeptane do ucha słuchacza w ten sposób, aby uszły świadomości biesiadników i z akcentem godnym najświetniejszej aktorki, miały iść prosto do serca: jakoż sięgnęły w samą głąb serca d'Artheza. Nie chodziło tu o sławnego pisarza, ta kobieta starała się usprawiedliwić w obliczu zmarłego! Mogli ją spotwarzać, chciała wiedzieć, czy nic nie skalało jej w oczach tego, który ją kochał. Czy umarł, unosząc wszystkie iluzje?

— Michał — odparł d'Arthez — był jednym z ludzi, którzy kochają bez zastrzeżeń i którzy, jeśli wybiorą źle, mogą cierpieć, ale nigdy wyrzec się tej, którą wybrali.

— I kochał mnie w ten sposób?... — Wykrzyknęła z wyrazem egzaltacji i rozmarzenia.

— Tak, pani.

— Byłam tedy jego szczęściem?

— Cztery lata.

— Niepodobna kobiecie dowiedzieć się takiej rzeczy bez uczucia radosnej dumy — rzekła, obracając słodką i szlachetną twarz ku d'Arthezowi ruchem pełnym wstydliwego pomieszania.

Jednym z najbardziej umiejętnych manewrów tych komediantek jest powściągać wyraz i gesty, kiedy słowa są zbyt wymowne, a kazać mówić oczom, kiedy mowa jest powściągliwa. Te misterne dysonanse, wsunięte w melodię fałszywego lub prawdziwego uczucia, wywierają nieprzeparty urok.

— Nieprawdaż — rzekła, zniżając jeszcze głos i upewniwszy się, iż uczyniła wrażenie — nieprawdaż, że to znaczy spełnić swój los, jeśli się dało szczęście i bez zbrodni wielkiemu człowiekowi?

— Czyż nie napisał tego pani?

— Tak, ale chciałam być zupełnie pewna; niech mi pan bowiem wierzy, iż, stawiając mnie tak wysoko, nie omylił się.

Kobiety umieją dawać swym słowom osobliwą uroczystość; udzielają im jakiejś wibracji, która rozszerza znaczenie myśli i użycza im głębi; jeżeli później oczarowany słuchacz nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówiły, cel jest w zupełności osiągnięty, co jest

właściwością wymowy. Gdyby księżna nosiła diadem Francji, czoło jej nie byłoby bardziej majestatyczne niż w tej chwili pod pięknym diademem upiętych wysoko i strojnych białym kwieciami włosów. Ta kobieta zdawała się kroczyć po falach potwarzy jak Zbawiciel po nurtach jeziora, owinięta w całun tej miłości niby anioł w swoje nimby. Nie było w tym nic, co by trąciło intencją ani też chęcią stworzenia sobie piedestału: było to spokojne i proste. Żywy człowiek nie mógłby nigdy oddać księżnej usług, jakie wyciskała z tego nieboszczyka. D'Arthez, samotny pracownik, któremu praktyki świata były obce i którego Myśl otoczyła opiekuńczymi zasłonami, dał się omamić akcentowi i słowom księżnej. Był pod urokiem wytwornego objęcia, podziwiał tę doskonałą piękność, dojrzałą przez nieszczęście, wypoczętą w zaciszu; zachwycało go to tak rzadkie połączenie subtelnego umysłu i pięknej duszy. Słowem, zamarzył o spadku po Michale Chrestien. Początkiem tej namiętności była, jak u większości głębokich pracowników, myśl. Widząc księżnę, studiując kształt jej głowy, tak słodką harmonię rysów, kibić, stopy, delikatnie wyrzeźbione ręce, oglądając to wszystko bardziej z bliska niż wówczas, kiedy towarzyszył przyjacielowi w szalonych pościgach, zauważył zdumiewający fenomen drugiego wzroku moralnego, jaki człowiek podniecony miłością znajduje w samym sobie. Z jaką jasnością Michał Chrestien czytał w tym sercu, w tej duszy, rozświeconej ogniami miłości! I ona również odgadła tę duszę! Bez wątpienia Michał byłby szczęśliwy. Toteż księżna zyskała w oczach d'Artheza wielki urok, aureolę poezji. Podczas obiadu pisarz przypomniał sobie rozpaczliwe zwierzenia federalisty, jego nadzieje, kiedy sądził, iż jest kochanym; piękne poematy, jakie dyktuje prawdziwe uczucie... Nie wiedząc o tym, Daniel miał skorzystać z tych przygotowań, będących dziełem przypadku. Rzadkim jest, aby mężczyzna przeszedł bez wyrzutów od roli powiernika do roli rywala, d'Arthez zaś mógł to uczynić bez zbrodni. W jednej chwili ujrzał olbrzymie różnice pomiędzy kobietą z towarzystwa, tym kwiatem wielkiego świata, a kobietą pospolitą, którą znał wszelako tylko z jednej próbki; uczył się tedy sięgnięty w najbardziej dostępnych, najtkliwszych strunach duszy i umysłu. Popychany naiwną gwałtownością swych pragnień ku tej kobiecie uczył równocześnie bariery, jakie świat, formy i, powiedzmy, majestat księżnej stawiał między nimi dwojgiem. Toteż dla człowieka przywykłego nie szanować tej, którą kochał, było w tym coś osobliwie drażniącego; była ponęta tym bardziej potężna, ile że zmuszony był połykać ją i dławić w sobie potajemnie. Rozmowa, która wytrwała przy Michale Chrestien aż do deseru, była zarówno dla Daniela, jak dla księżnej cudownym pozorem, aby mówić po cichu: miłość, sympatia, harmonia dusz; dla niej, aby się pozować na kobietę zapoznaną, spotwarzoną; dla niego, aby wleźć obiema nogami w pantofle zmarłego. Być może ten naiwny człowiek pochwycił się na tym, iż w tej chwili mniej żałował przyjaciela! W chwili gdy cuda deseru zabyły na stole, przy blasku kandelabrow, pod osłoną bukietów naturalnego kwiecia, które rozdzielały biesiadników świetnym żywopłotem, bogato ubarwionym owocami i cukrami, księżna uznała za właściwe zakończyć ten ciąg zwierzeń uroczym słówkiem przy akompaniamencie bardziej jeszcze uroczego spojrzenia, wyrażając subtelnie tę myśl, iż Daniel i Michał były to dwie bratnie dusze. D'Arthez rzucił się w wir ogólnej rozmowy, wnosząc w nią radość dziecka i godne uczniaka zadowolenie z siebie. Księżna przyjęła z zupełną prostotą ramię pisarza, aby przejść do buduaru. Mijając salon, szła wolno; kiedy się zaś znalazła w pewnym oddalaniu od margrabin, którą prowadził Blondet, zatrzymała d'Artheza.

— Nie chcę być niedostępną dla przyjaciela tego nieszczęśliwego — rzekła — mimo że wzięłam sobie jako zasadę nie przyjmować nikogo, pan jeden na świecie będziesz miał wstęp do mego domu. Niech pan tego nie uważa za łaskę. Łaska może istnieć jedynie dla obcych, a ja mam wrażenie, że jesteśmy starymi przyjaciółmi: chcę widzieć w panu brata Michała.

D'Arthez mógł jedynie przycisnąć ramię księżnej, nie znalazł odpowiedzi. Skoro podano kawę, Diana de Cadignan zawięła się zalotnym ruchem w szal i powstała. Blondet i Rastignac byli zbyt wytrawnymi politykami i światowcami, aby podnieść jakikolwiek mieszczański wykrzyknik i chcieć zatrzymywać księżnę; ale pani d'Espard posadziła z powrotem przyjaciółkę, biorąc ją za rękę i szepcząc do ucha: „Zaczekaj aż ludzie zjedzą obiad, powóz jeszcze nie gotów”. I dała znak pokojowcowi, który odnosił tacę. Pani de Montcornet odgadła, że księżna i pani d'Espard mają sobie coś do powiedzenia i pociągnęła



d'Artheza, Rastignaka i Blondeta, zabawiając ich fajerwerkiem paradoksalnej wymowy, w której paryżanki tak celują.

— I cóż! — Rzekła margrabina do Diany — jak ci się wydaje?

— Ależ to przemiłe dziecko, prosto z powijków. Doprawdy, i tym razem będzie jak zawsze, tryumf bez walki.

— To rozpaczliwe — rzekła pani d'Espard — ale jest rada.

— Jak to?

— Pozwól mi zostać swą rywalką.

— Jak chcesz — odparła księżna — ja już jestem zdecydowana. Geniusz to sprawa mózgu: nie wiem, jak na tym wychodzi serce, pomówimy o tym później.

Słyszając te ostatnie słowa niepodobne do odcyfrowania, pani d'Espard przeszła do ogólnej rozmowy i nie zdawała się ani zraniona tym *jak chcesz*, ani ciekawa dowiedzieć się, do czego to spotkanie doprowadzi. Księżna przetrwała jaką godzinę na kozetce koło ognia, w owej niedbalej i pełnej zadumy postawie, jaką Guerin dał swojej Dydonie. Słuchała z uwagą; od czasu do czasu spoglądała na Daniela, nie ukrywając podziwu, ujętego zresztą w dyskretnie karby. Wysunęła się, skoro powóz zajechał, wymieniwszy uścisk z margrabinią i skinienie głowy z panią de Montcornet.

Do końca wieczoru nie było mowy o księżnej. Skorzystano z niezwyklego podniecenia d'Artheza, który rozwinął skarby swego umysłu. Niewątpliwie miał w Rastignaku i Blondecie partnerów pierwszorzędnej siły, i jako subtelność dowcipu, i jako rozciągłość inteligencji. Co do kobiet, obie te panie liczą się od dawna między najświetniejsze zjawiska „towarzystwa”. Było to więc niby wytchnienie w oazie, szczęście rzadkie i wysoko cenione przez te osoby, zwyczajnie wydane na pastwę krępującego wzroku świata, salonów i polityki. Istnieją jednostki, mające ten przywilej, iż są między ludźmi niby dobroczynne gwiazdy, których blask oświeca umysły, promienie ogrzewają serca. D'Arthez był jedną z tych pięknych dusz. Pisarz, który wzbije się do tej wyżyny, przyzwyczajają się wszystko ogarniać myślą i zapomina niekiedy, że nie wszystko trzeba mówić; niepodobieństwem mu jest zachować powściągliwość ludzi, którzy żyją w świecie ustawicznie; ale, ponieważ wybryki jego zawsze naznaczone są piętnem oryginalności, nikt na nie nie wyrzeka. Ta zaprawa tak rzadka u ludzi talentu, ta pełna prostoty młodość, która czyni d'Artheza tak szlachetnie oryginalnym, sprawiły, iż wieczór spłynął jak rozkoszna chwila. Daniel wyszedł z baronem de Rastignac, który, odprowadzając go do domu, zaczął oczywiście mówić o księżnej, pytając, jak mu się wydała.

— Michał miał słusność, że ją kochał — odparł d'Arthez — to niezwykła kobieta.

— Bardzo niezwykła — odparł drwiąco Rastignac. — Po twoim akcencie widzę, że już ją kochasz; złożysz jej wizytę, nim trzy dni upłyną, a jestem nadto starym paryskim wyjadaczem, aby nie wiedzieć, co z tego wyniknie. Otóż, drogi Danielu, błagam, wystrzegaj się najmniejszego splątania interesów. Kochaj księżnę, jeśli ci serce dyktuje, ale myśl o swoim mieniu. Nigdy nie wzięła ani nie żądała dwóch groszy od nikogo w świecie, zanadto jest na to d'Uxelles i Cadignan; ale, wedle tego, co wiem, poza własnym majątkiem, który był bardzo znaczny, pękło przez nią kilka milionów. Jak? Dlaczego? Jakim cudem? Nikt nie wie, ona sama nie wie. Widziałem ją, jak trzymała lat temu półkęną w półtora roku fortunę przemiłego chłopca oraz starego reagenta.

— Trzymała lat temu! — Rzekł d'Arthez — ileż tedy ona ma lat?

— Nie widziałeś — odparł, śmiejąc się Rastignac — przy stole jej syna, Jerzego de Maufrigneuse, dziewiętnastoletniego młodzieńca? Otóż, dziewiętnaście a siedemnaście czynią...

— Trzydzieści sześć — wykrzyknął pisarz zdumiony — ja jej dawałem dwadzieścia lat.

— Przyjmie je — odparł Rastignac — zresztą, bądź bez obawy; zawsze będzie miała dwadzieścia lat dla ciebie. Wejdiesz w świat, co się zowie fantastyczny. Dobranoc, jesteś u siebie — rzekł baron, widząc, iż powóz wjeżdża w ulicę de Bellefond, gdzie mieszkał d'Arthez w ładnym domku będącym jego własnością — zobaczymy się w tym tygodniu u panny des Touches.

D'Arthez pozwolił miłości wnikać w serce bez najmniejszego oporu, brnął w adoracji bez krytyki, w absolutnym podziwieniu. Księżna, ta piękna istota, jedna z najniezwyklejszych kreacji potwornego Paryża, gdzie wszystko tak w dobrym, jak w złym jest

możliwe, stała się — mimo iż słowo to straszliwie spopolitowano w naszych smutnych czasach — marzonym aniołem. Aby dobrze zrozumieć nagle przeobrażenie znakomitego autora, trzeba by wiedzieć, ile niewinności zostawia w sercu samotność i ustawiczna praca, ile pragnień i fantazji rozwija miłość sprowadzona do prymitywnej potrzeby i która — dzięki lichocie swego przedmiotu — stała się ciężarem; ile budzi żalów i rodzi boskich uczuć w najwyższych regionach duszy. D'Arthez był w istocie dzieckiem, studentem, jak to księżna natychmiast odgadła instynktem. Prawie także samo olśnienie spełniło się w pięknej Dianie. Spotkała tedy wreszcie owego niepospolitego człowieka, którego wszystkie kobiety pragną, choćby tylko po to, aby z nim igrać; tę potęgę, której godzą się poddać, choćby tylko po to, aby mieć przyjemność ujarznienia jej; znalazła wreszcie blask inteligencji złączony z naiwnością serca, ze świeżością uczucia; a wreszcie, niesłychanym szczęściem, wszystkie te bogactwa kryły się w formie, która była Dianie sympatyczna. D'Arthez wydał się jej piękny; może był nim w istocie. Mimo iż doszedł do pełni lat męskich, trzydziestu ośmiu lat, zachował, dzięki wstrzemięźliwemu i skromnemu życiu, puszek młodości; zarazem, jak wszyscy ludzie pracujący przy biurku, jak mężowie stanu, osiągnął przyzwoitą tuszę. Za młodu przedstawiał pewne podobieństwo z Bonapartem, gdy był generałem. Podobieństwo to trwało jeszcze o tyle, o ile człowiek z czarnymi oczami, gęstym i ciemnym włosom może być podobny do tego monarchy o niebieskich oczach i włosach kasztanowatych: ale błysk żarliwej i szlachetnej ambicji palący się niegdyś w oczach d'Artheza złagodniał poniekąd pod wpływem powodzeń. Myśli, którymi czoło jego było brzemienne, rozkwitły, zapadłe linie twarzy wypełniły się. Dobrobyt rozlewał złotawe odcienie tam, gdzie w młodości nędza znaczyła się żółtymi tonami temperamentu, napinającego siły, aby podtrzymać miażdżące i ustawiczne walki. Jeżeli przyjrzy się bacznie postaciom starożytnych filozofów, ujrzy, iż zboczenia od doskonałego typu twarzy ludzkiej, jakim każda fizjonomia zawdzięcza swoją oryginalność, łagodzą się u nich nawykiem medytacji, spokojem nieodzownym dla pracy ducha. Najbardziej nieregularne, wymęczone twarze, jak np. Sokratesa, nabierają z upływem czasu niemal boskiej pogody. Ze szlachetną prostotą, jaka zdobiła jego imperatorską głowę, d'Arthez łączył wyraz naiwności, naturalność dziecka i wzruszającą dobroćliwość. Nie miał owej zawsze nasiąkłej fałszem grzeczności, jaką najlepiej wychowane i najmiłsze osoby podrabiają zbywając im często przymioty, zostawiając ranę w sercu tych, których zdolają oszukać. Mógł chybić pewnym prawidłom świata wskutek nawyku do samotności; ale nie raziło to nikogo. Ten pieprzyk dzikości dodawał jeszcze wdzięku wylaniu właściwemu ludziom niepospolitym, którzy umieją zostawić swą wyższość w domu, aby się znaleźć na poziomie otoczenia i, na sposób Henryka IV, używać swego grzbietu dzieciom a inteligencji głupcom.

Wracając do domu, księżna tak samo nie dysputowała z sobą, jak d'Arthez nie bronił się urokowi, który ona nań rzuciła. Wszystko spełniło się w niej i dla niej: kochała swoją wiedzę i swoją nieświadomość. Jeżeli pytała samą siebie, to tylko o to, czy zasługuje na tak wielkie szczęście i co mogła uczynić niebu, iż jej zsyła podobnego anioła. Chciała być godną tej miłości, utrwalić ją, przyswoić ją sobie na zawsze i zakończyć słodko życie ładnej kobiety w raju, który widziała przed sobą. O oporze, o tym, aby się drożyć, kokietować, nawet nie myślała. Myślała o bardzo czymś innym! Zrozumiała wyższość genialnych ludzi, odgadła, iż nie poddają wybranej kobiety zwyczajnym prawom. Toteż w błyskawicznym rzucie oka, właściwym tym wielkim umysłom kobiecym, przyrzekła sobie ulec za pierwszym pragnieniem. Wedle pojęć, jakie stworzyła sobie, od pierwszego widzenia, o charakterze d'Artheza, odgadywała, iż to pragnienie nie wypowie się tak wcześniej i że będzie miała czas uczynić się tym, czym chciała, czym powinna być w oczach szczytnego kochanka.

Tutaj rozpoczyna się jedna z tych nieznanych komedii, odgrywanych we wnętrzu sumienia między dwiema istotami, z których jedna ma paść ofiarą. Komedia ta rozszerza wszelkie granice przewrotności; jest to czarny i uciśniony dramat, wobec którego taki *Świętoszek* jest błahostką. Ale dramaty takie nie są z zakresu sceny; — są naturalne, zrozumiałe i usprawiedliwione koniecznością; straszliwe dramaty, które należałoby nazwać odwrotnym medalem występku. Księżna zaczęła od tego, iż posłała po dzieła d'Artheza; nie czytała ani jednego słówka, a mimo to podtrzymywała przez dwadzieścia minut entu-

zjastyczną dyskusję, bez jednej „sypki”. Przeczytała wszystko. Następnie chciała porównać te książki z tym, co współczesna literatura wydała najlepszego. Miała istną niestrawność mózgu w dniu, w którym d'Arthez przyszedł ją odwiedzić. W oczekiwaniu codziennie gotowała tualetę wysokiej klasy, jedną z tych, które wyrażają myśl i narzucają ją oczom, nie wiadomo jak i dlaczego. Była to harmonijna kombinacja szarych kolorów, rodzaj pół-żałoby, wdzięk prostoty, strój kobiety, która jest związana z życiem już tylko paroma naturalnymi więzami, na przykład dzieckiem, i która czuje się niby na wygnaniu. Wyrażała tym strojem wytworną mizantropię, w której nie posuwała się wszelako aż do samobójstwa, ot, dożywała swoich dni w tej kaźni ziemskiej. Przyjęła d'Artheza jak kobieta, która go oczekuje i tak jak gdyby był już u niej sto razy; uczyniła mu ten zaszczyt, iż przyjęła go niby dawną znajomość, ośmieliła go jednym gestem, wskazując kozetkę, podczas gdy sama kończyła zaczęty list. Rozmowa zawiązała się w sposób najpospolitszy w świecie: czas, ministerium, choroba de Marsaya, nadzieje legitymizmu. D'Arthez był absolutystą, księżna nie mogła nie znać zapatrywań człowieka zajmującego miejsce w Izbie wśród szczupłej garstki osób przedstawiających stronnictwo legitymistyczne; znalazła sposobność opowiedzenia, jak sobie zażartowała z de Marsaya; następnie, nawiązując do poświęceń p. de Cadignan dla rodziny królewskiej, sprowadziła uwagę d'Artheza na księcia.

— Ma przynajmniej za sobą to, iż kocha swoich panów i jest im oddany — rzekła. — Jego charakter publiczny pociesza mnie po wszystkich cierpieniach, jakie mi sprawił jego charakter prywatny. Czy pan nie zauważył — rzekła, zręcznie zostawiając na stronie księcia — pan, który wiesz wszystko, że mężczyźni mają dwa charaktery: jeden dla domu, dla żon, dla swego poufnego życia, i to jest ów prawdziwy; tam nie ma już maski, nie ma udania, nie zadają sobie trudu grania komedii, są tym, czym są, i są częstokroć straszni! Z drugiej strony, świat, ludzie, salony, dwór, monarcha, polityka: tam znów są wielcy, szlachetni, wielkoduszni, w kostiumie haftowanym cnotami, strojni wymową, pełni najcenniejszych przymiotów. Cóż za straszliwy żart! I świat dziwi się nieraz uśmiechowi kobiet, ich pobłażliwemu tonowi w stosunku do przyjaciół, ich obojętności...

Opuściła rękę wzdłuż poręczy, nie kończąc, ale ten gest cudownie uzupełniał jej wykrzyknik. Skoro ujrzała, iż d'Arthez zajęty jest jej giętką kibicią, tak wdzięcznie układającą się w głębi przytulnego fotela, grą fałdów sukni i ładnym medalionikiem falującym wraz z pierśią, podjęła tok myśli, jakby mówiła do siebie.

— Nie chcę rzec więcej. Wy, panowie pisarze, ośmieszyliście do gruntu kobiety, które się głoszą jako zapoznane, są nieszczęśliwe w małżeństwie, robią się dramatyczne, interesujące, co w istocie wydaje mi się w najwyższym stopniu mieszczańskie. Albo się kobieta ugnie i wtedy koniec wszystkiego, albo opiera się i szuka zabawy. W obu wypadkach powinna milczeć. Prawda, że ja nie umiałam ani zupełnie się ugiąć, ani zupełnie się oprzeć; ale to była może jeszcze ważniejsza racja, aby zachować milczenie. Cóż za głupstwo ze strony kobiety skarżyć się! Jeżeli okazała się słabszą, to znak, iż brakło jej sprytu, taktu, przenikliwości: zasługuje na swój los. Czyż kobieta nie jest we Francji królową? Robi sobie z was zabawę, jak jej się podoba, kiedy się jej podoba i ile się jej podoba. — Tu potrząsnęła lornetką, cudownym ruchem kobiecej impertynencji i drwiącego rozbawienia. — Często słyszę, jak jakieś niebożątka żalują, że są kobietami, zazdroszczą mężczyznom: zawsze patrzyłam na nie z politowaniem — ciągnęła. — Gdybym miała wybierać, i tak jeszcze wolałabym być kobietą. Ładna przyjemność zawdzięczać swoje tryumfy sile, wszystkim potęgom, jakie wam dają prawa ukute przez was! Ale kiedy widzimy was u naszych stóp, mówiących i robiących głupstwa, czyż to nie jest upajające szczęście czuć w sobie słabość, która tryumfuje? Kiedy postawimy na swoim, powinniśmy tedy zachować milczenie, pod grozą utraty władzy. Kobieta pokonana również powinna milczeć, przez dumę: milczenie niewolnika przeraża tyrana.

Ten szczebiot wypowiedziany był tak łagodnie drwiącym, tak lubym głosem, z tak zalotną mimiką, że d'Arthez, który zupełnie nie znał tego rodzaju kobiety, był niby kuropatwa urzeczona przez wyżła.

— Proszę — rzekł wreszcie — niech mi pani wytłumaczy, w jaki sposób mężczyzna mógł panią uczynić nieszczęśliwą. Niech pani będzie pewna, że tam, gdzie każda inna kobieta byłaby pospolitą, pani byłaby wytworną: i to gdybyś nawet nie posiadała sposobu wyrażania myśli, zdolnego uczynić zajmującym samą książkę kucharską.

— Szybko posuwa się pan w przyjaźni — rzekła głębokim tonem, który sprawił, iż d'Arthez spowaźniał i uczył się niespokojny.

Rozmowa zmieniła temat, godzina stała się późna. Biedny genialny człowiek odszedł strapiiony, iż okazał się ciekawym, iż zranił tkliwe serce. Wierzył, że ta kobieta musiała wiele cierpieć: ona, która spędziła życie na zabawie, była prawdziwym żeńskim don Juanem, z tą odmianą, że nie na wieczerzę zaprosiłaby kamienny posąg i z pewnością odniosłaby zwycięstwo nad posągiem.

Niepodobieństwem jest iść dalej, nie rzekłszy słowa o księciu de Cadignan, bardziej znanym pod nazwiskiem de Maufrigneuse; inaczej pieprzyk przedziwnych wymysłów księżnej ulotniłby się. Ktoś nieświadomy nic by nie zrozumiał z przerażającej komedii paryskiej, jaką miała odegrać dla swego wielbiciela.

P. de Maufrigneuse, jako prawdziwy syn księcia de Cadignan, jest to długi i suchy mężczyzna, bardzo rasowy, pełen wdzięku i uprzejmości. Został pułkownikiem z Bożej łaski, a stał się dobrym żołnierzem przez przypadek; poza tym dzielny jak Polak, dzielny przy każdej sposobności, trzeba czy nie trzeba, i ukrywający pustkę pod gwarą salonowca. Od trzydziestego szóstego roku życia stał się z musu równie obojętny na pleć piękną jak jego pan król Karol X; ukarany, jak jego pan, za to, iż, jak on, za wiele miał powodzenia w młodości. Będąc przez osiemnaście lat bożyszczem dzielnicy Saint-Germain, prowadził, jak wszyscy młodzi panicze, życie hulaszcze, wyłącznie zapełnione przyjemnościami. Ojciec jego, zrujnowany przez rewolucję, odzyskał swoje godności za powrotem Burbonów, gubernatorstwo królewskiego zamku, dochody, pensje; ale stary książę przejadł bardzo rychło tę łataną fortunę, zostawszy tym samym wielkim panem, jakim był przed rewolucją. Kiedy przyszło prawo o odszkodowaniach, sumy wypłacone Cadignanom pochłonął zbytek, jaki książę rozwinął w olbrzymim pałacu, jedynej majątności, którą odnalazł za powrotem, a której największą część zajmowała jego synowa. Książę de Cadignan zmarł na jakiś czas przed rewolucją lipcową, w osiemdziesięciu siedmiu latach. Zrujnował żonę i długi czas był w naprężonych stosunkach z księciem de Navarreins, który zaślubił jego córkę w pierwszym stadle: zaledwie zdołał wybrnąć z zawyłych rachunków. P. de Maufrigneuse miał stosunek z księżną d'Uxelles. Około 1814, w chwili gdy dosięgał trzydziestego szóstego roku życia, księżna, widząc go biednym, ale w wielkim faworze, dała mu córkę, która posiadała około pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu tysięcy renty, nie licząc widoków po matce. Diana d'Uxelles stawiała się w ten sposób księżną, matka zaś wiedziała, że będzie miała prawdopodobnie zupełną swobodę. Osiągnąwszy niespodziewane szczęście, iż zyskał dziedzica, p. de Maufrigneuse zostawił żonie najzupełniejszą wolność i zabawiał się po garnizonach, spędzając zimę w Paryżu, robiąc długi, które ojciec ciągle płacił, głosząc najzupełniejszą pobłażliwość małżeńską, ostrzegając żonę na tydzień przed swoim powrotem do Paryża, ubóstwiany w pułku, kochany przez następcę tronu, zresztą bez najmniejszej afekcji. Nigdy żona nie mogła go nakłonić, aby wziął sobie jaką figurantkę z opery dla *decorum* i przez wzgląd dla niej, jak mówiła żartem. Diuk, który miał dziedziczyć godności po ojcu, umiał spodobać się dwom królom, Ludwikowi XVIII i Karolowi X, co dowodzi, iż potrafił wcale nieźle wygrywać swą nicość; ale to prowadzenie się, to życie, wszystko było powleczone najpiękniejszym pokostem: wysłowienie, szlachetność form, wzięcia, doprowadzone do szczytu. Dość powiedzieć, iż liberałowie mieli doń słabość! Niepodobna mu było podtrzymać tradycji Cadignanów, którzy, wedle starego księcia, znani byli z tego, iż rujnują żony, ponieważ diuszesa sama zjadła swój majątek. Te szczegóły stały się tak publiczne w świecie dworskim i w dzielnicy Saint-Germain, iż przez ostatnich pięć lat Restauracji wysmiano by tego, kto by o nich wspomniał, tak jakby chciał opowiadać śmierć Tureniusza albo Henryka IV. Toteż żadna kobieta nie mówiła o uroczym diuku inaczej jak tylko z najwyższymi pochwałami: był doskonały dla żony; trudno mężczyźnie okazać się bardziej dworskim niż Maufrigneuse dla księżnej; zostawił jej swobodę rozporządzania majątkiem; bronił i wspierał ją przy każdej sposobności. Czy to przez dumę, czy przez dobroć, czy przez rycerskość, p. de Maufrigneuse uratował księżnę w wielu okolicznościach, w których każda inna byłaby się zaprzepaściła, mimo swego otoczenia, mimo wpływów starej księżnej d'Uxelles, księcia de Navarreins, swego teścia i ciotki mężowskiej. Dziś książę de Cadignan uchodzi za jeden z najpiękniejszych charakterów arystokracji. Być może wierność jego w złej doli jest najpiękniejszym zwycięstwem, jakie może dworak odnieść nad samym sobą.

Księżna d'Uxelles miała czterdzieści pięć lat, kiedy wydała córkę za p. de Maufri-neuse; patrzała tedy od dawna bez zazdrości, a nawet z zainteresowaniem na powo-dzenia dawnego kochanka. W małżeństwie córki postępowanie jej odznaczało się wielką szlachetnością, ratującą niemoralność tej kombinacji. Mimo to złośliwość dworskiego towarzystwa znalazła materiał do drwin i twierdziła, iż to piękne postępowanie niewiele kosztowało księżnę, mimo iż, blisko od pięciu lat, poświęciła się dewocji i skrusze kobiety wiele mającej do odpokutowania.

Przez szereg dni Diana coraz więcej ośniewała Daniela znajomością literatury. Poruszyła z nadzwyczajną swobodą najtrudniejsze kwestie, dzięki lekturom dziennym i nocnym prowadzonym z wytrwałością godną najwyższej pochwały. D'Arthez zdumiony i niezdolny przypuścić, iż Diana powtarza wieczór to, co wyczytała rano, jak czyni wielu pi-sarzy, uważał ją za niepospolity umysł. Rozmowy te oddalały Dianę od celu; próbowała wrócić na teren zwierzeń, z których wielbiciel jej ostrożnie się wycofał; ale nie łatwo było obłaskawić człowieka tej miary, skoro się go raz spłoszyło. Mimo to po miesi-  
cu kampanii literackich i rozpraw platońskich d'Arthez ośmielił się i zaczął przychodzić codziennie o trzeciej. Wychodził o szóstej i zjawiał się z regularnością wytęsknionego kochanka o dziewiątej wieczór, aby zostać do dwunastej lub pierwszej. Kiedy d'Arthez się zjawiał, księżna była już ubrana, mniej lub więcej wyszukanie. Ta wzajemna wierność, ta dbałość o siebie, wszystko wyrażało uczucia, których nie śmieli sobie wyznaczyć: księż-  
na bowiem zgadywała doskonale, że to wielkie dziecko lęka się rozprawy w tym samym stopniu, w jakim ona jej pragnie. Mimo to szacunek, jaki d'Arthez wkładał w swoje ustawiczne nieme oświadczenia, podobał się księżnej. Oboje czuli się z każdym dniem mocniej spojeni, tym milej, iż nic umówionego ani określonego nie narzucało kierunku ich myślom: podczas gdy między kochankami zawsze występują z jednej strony formalne żądania, z drugiej szczerza lub udana obrona. Podobnie jak wszyscy ludzie młodszy niż ich wiek, d'Arthez był pastwą tych wzruszających niezdecydowań, spowodowanych potęgą pragnień, a obawą niepowodzenia. Jest to położenie, z którego młoda kobieta nie zdaje sobie sprawy wówczas, kiedy je dzieli; ale księżna stwarzała je świadomie nazbyt często, aby nie miała smakować wszystkich jego przyjemności. Toteż Diana syciła się tymi rozkosznymi dzieciństwami z tym większym urokiem, iż mogła w każdej chwili położyć im koniec. Podobna była do wielkiego artysty, który lubuje się w mglistych liniach szkicu, pewny, iż w godzinie natchnienia dokończy arcydzieła jeszcze bujającego w otchłani poczynań. Ile razy, widząc d'Artheza gotowego się zbliżyć, czyniła sobie uciechę z tego, aby go powstrzymać surowym spojrzeniem! Tłumiła tajemne burze tego młodego ser-  
ca, wzniewiała je, uśmierzała spojrzeniem, ręką podaną do pocałowania lub nieznaczącymi słowy wyrzeczonymi wzruszonym i tkliwym głosem. Ten system, obmyślony na zim-  
no, ale bosko odegrany, wyciskał jej obraz coraz głębiej w duszy niepospolitego pisarza. Z przyjemnością doprowadzała go do tego, iż stawał się przy niej dzieckiem, prostym, ufnym, prawie głupim; ale miewała również chwile refleksji i wówczas niepodobna jej było nie podziwiać tyle wielkości połączonej z taką naiwnością. Ta gra kokietki w wiel-  
kim stylu przywiązywała nieznacznie ją samą do jej niewolnika. Wreszcie zniecierpliwił ją ten rozkochany Epiktet, i, kiedy uznała, iż przygotowała go do zupełnej łatwowierności, umyśliła zawiązać mu na oczy najgęstszą przepaskę.

Jednego dnia Daniel zastał Dianę zamyśloną, z łokciem opartym na małym stoliczku, z piękną blond główką skąpaną w świetle lampy; bawiła się listem, podrzucając go po serwecie. Skoro d'Arthez spostrzegł papier, zwinęła go i wsunęła za pasek.

— Co pani? — rzekł d'Arthez — wydaje mi się pani podrażniona?

— Otrzymałam list od p. de Cadignan — odparła. — Mimo iż wielkie są winy jego wobec mnie, pomyślałam, przeczytawszy to pismo, że jest wygnany, bez rodziny, bez syna, którego kocha...

Słowa te, wypowiedziane głosem pełnym duszy, odsłaniały anielską wrażliwość. D'Arthez uczył się w najwyższym stopniu wzruszony. Ciekawość kochanka stała się, można powie-  
dzieć, ciekawością niemal psychologiczną i literacką. Chciał wiedzieć, do jakiego punktu sięga wielkość tej kobiety, jakie zniewagi ogarnia jej przebaczenie, w jaki sposób te świa-  
towe damy, pomawiane o lekkość, bezczulość, egoizm, zdolne są być aniołami. Pamiętał, że już raz odepchnięto go, skoro pragnął poznać to niebiańskie serce; toteż znać było drżenie w jego głosie, kiedy, ujmując przejrzystą, wiotką, o smukłych paluszkach rękę

Diany, rzekł: — Czy jesteśmy już na tyle przyjaciółmi, aby mi pani mogła powiedzieć, co wycierpiała? Dawne zgryzoty muszą z pewnością odgrywać rolę w tej zadumie.

— Tak — rzekła, wydychając tę zgłoskę niby najśłodsza nutę fletni.

Znowu popadła w zadumę, oczy jej zamglily się. Daniel trwał w oczekiwaniu pełnym lęku, przeniknięty uroczystością chwili. Wyobrażenia poety ukazywała mu niby chmury, które rozpraszały się z wolna, odsłaniając sanktuarium, gdzie u stóp Boga miał ujrzyć zranionego baranka.

— I cóż?... — rzekł łagodnym i spokojnym głosem.

Diana spojrzała na tkliwego powiernika: następnie spuściła powoli oczy, tocząc powieki ruchem ujawniającym najszlachetniejszą wstydlivość. Potwór chyba byłby zdolny wyobrazić sobie bodaj cień obłudy we wdzięcznie falistym ruchu, jakim sprytna dama podniosła główkę, aby zatopić jeszcze jedno spojrzenie w chciwych oczach wielkiego człowieka.

— Czyż mogę?... Czy powinnam?... — Rzekła, czyniąc ruch mimowolnego wahania i patrząc na d'Artheza z cudownym wyrazem rozmarzonej tkliwości. — Mężczyźni tak mało dają wiary tego rodzaju rzeczom! Tak mało czują się zobowiązani do dyskrecji!...

— Och! Jeżeli pani mi nie ufa, po cóż jestem tutaj!... — wykrzyknął d'Arthez.

— Ach! Mój przyjacielu — odparła, dając swemu wykrzyknikowi cały powab mimowolnego wyznania — kiedy kobieta przywiąże się na życie, czyż zdolna jest wtedy do rachuby? Nie chodzi o odmowę (czegoż mogłabym panu odmówić?), ale o pojęcie, jakie będziesz miał o mnie po moim wyznaniu... Odkryję panu chętnie położenie, w jakim się znalazłam, osobliwe jak na kobietę w moim wieku: ale co pomyślałbyś o kobiecie, która by odsłoniła tajemne rany małżeństwa, która by zdradziła tajemnice cudze? Tureniusz dotrzymywał słowa danego złodziejowi; czyż nie jestem winna moim katom uczciwości Tureniusza?

— Czy dała pani komu słowo?

— Pan de Cadignan nie uważał za potrzebne żądać ode mnie tajemnicy. Chcesz pan tedy więcej niż mojej duszy? Tyranie! Chcesz tedy, abym pogrzebała w tobie mą uczciwość — rzekła, obrzucając d'Artheza spojrzeniem, którym podnosiła nieskończenie cenę tego fałszywego zwierzenia.

— Ma mnie pani za człowieka nazbyt pospolitego, jeżeli się pani lęka czegokolwiek z mej strony — rzekł ze źle ukrywaną goryczą.

— Przebacz, przyjacielu mój — odparła, ujmując go za rękę i wodząc po niej palcami ruchem arcyśłodocy. — Wiem, ile jesteś wart. Opowiedziałeś mi całe swoje życie, jest szlachetne, piękne, wzniosłe, godne twego imienia; może nawzajem ja winna ci jestem moje? Ale lękam się zbyt wiele stracić w twych oczach, opowiadając tajemnice, które należą nie tylko do mnie. Może nie uwierzy pan, pan, człowiek samotności i poezji, w ohydy świata. Ach! Kiedy tworzysz swoje dramaty, nie wiesz, jak dalece przewyższa je to, co się rozgrywa w łonie rodzin, na pozór najbardziej zgodnych. Nie znasz rozmiarów pewnych złoconych niedoli!...

— Wiem wszystko! — wykrzyknął.

— Nie! — odparła — nie wiesz nic. Czyż córka ma kiedykolwiek prawo oskarżać własną matkę?

Słyszając to słowo, d'Arthez uczuł się niby człowiek zbłąkany w ciemną noc w Alpach, który w pierwszych blaskach poranku spostrzeża, iż stąpa nogą w przepaść bez dna. Popatrzył na księżnę tępyim wzrokiem, uczuł zimno w grzbiecie. Diana sądziła już, że ten genialny człowiek jest słabą duszą, ale ujrzała w jego oczach błysk, który ją upewnił.

— Tak, trudno, pan stałeś się dla mnie niemal sędzią — rzekła rozpaczliwym tonem. Mogę mówić na zasadzie prawa, które wszelkiej spotwarzanej istocie pozwala się odwołać do swej niewinności. Byłam, jestem jeszcze (o ile w ogóle ktoś sobie przypomina o biednej samotnicy, zmuszonej przez świat do usunięcia się ze świata!) oskarżana o tyle płochości, o tyle złych rzeczy, iż mam chyba prawo w sercu, w którym znalazłam przytułek, ułożyć się w ten sposób, aby mnie zeń nie wygnano. Usprawiedliwianie zdało mi się zawsze płamą dla niewinności, dlatego gardziłam wszystkim, co by nim trąciło... Do kogóż zresztą miałam mówić? Tego rodzaju okropności można zwierzyć albo Bogu, albo komuś, kto jest w naszym poczuciu bardzo blisko niego, kapłanowi, komuś wreszcie, kto jest niby nasze drugie ja... Słuchaj więc! Jeżeli moje tajemnice nie będą tutaj — rzekła, przykładając

rękę do serca d'Artheza — tak jak były tu (ugięła pod palcami fiszbiny sznurówki)... nie byłbyś wielkim d'Arthezem, omyliłabym się!

Łza zwilżyła oczy d'Artheza, Diana zaś pochłonęła tę łzę skośnym spojrzeniem, od którego nie drgnęła źrenica ani powieka. Było to zwinne i sprawne niby ruch kotki chwytającej mysz. D'Arthez, po pierwszy raz, po sześćdziesięciu dniach ścisłej etykiety, odważył się ująć tę ciepłą i pachnącą rękę, podniósł ją do warg, złożył na niej długi pocałunek ciągnący się od garstki aż do paznokci z tak delikatną rozkoszą, iż księżna skinęła głową, wnosząc bardzo dobrze o literaturze. Pomyślała, iż genialni ludzie muszą kochać w sposób o wiele doskonalszy niż fircyki, dudki światowe, dyplomaci, a nawet żołnierze, którzy wszelako tylko to mają do roboty. Była znawczynią, wiedziała, że temperament miłosny wyraża się poniekąd w błahostkach. Kobieta inteligentna może wyczytać swą przyszłość w prostym geście, jak Cuvier umiał powiedzieć, widząc kawałek łapy: — To należy do zwierzęcia takich a takich rozmiarów, z rogami lub bez, mięsożernego, trawożernego, amfibii, etc... liczącego tyle tysięcy lat. Pewna, iż znajdzie w d'Arthezie tyleż wyobraźni w miłości, ile jej wkładał w styl, uznała za potrzebne doprowadzić go do najwyższego stopnia namiętności i wiary. Cofnęła żywo rękę wspaniałym gestem wzruszenia. Gdyby rzekła: — Przestań, zabijasz mnie! Nie miałyby to tak energicznej wymowy. Pozostała przez chwilę z oczami w oczach d'Artheza, wyrażając równocześnie szczęście, skrupuł, obawę, ufność, niemoc, mętne pragnienie i wstydlivość dziewicy. Miała wówczas tylko dwadzieścia lat! Ale liczcie, iż przygotowała się do tej teatralnej scenki z niesłychaną sztuką tualety, wynurzała się z fotela jak kwiat gotowy rozwić się za pierwszym promieniem słońca. Wszystko to, fałszywe czy szczere, coraz bardziej upajało Daniela. Jeżeli wolno wtrącić tutaj osobiste mniemanie, wyznajmy, iż rozkosznym byłoby długo być oszukiwanym w ten sposób. Niewątpliwie często na scenie Talma wznosił się o wiele ponad naturę. Ale czy księżna de Cadignan nie jest największą aktorką współczesną? Brakuje tej kobiecie jedynie widowni znawców. Na nieszczęście, w epokach nękanym politycznymi burzami, kobiety giną niby lilie wodne, które, aby kwitnąć i roztaczać się naszym zachwyconym spojrzeniem, potrzebują czystego nieba i cieplejszych zefirów.

Godzina nadeszła: tuż, tuż, a Diana miała zapłatać wielkiego człowieka w nierozrwalne liany przygotowanej od dawna powieści, której gotował się wysłuchać, jak neofita za czasu pierwszych chrześcijan słuchał listu apostoła.

— Mój przyjacielu, matka moja, która żyje jeszcze w Uxelles, wydała mnie za mąż w siedemnastu latach w 1814 (widzisz, że jestem bardzo stara!) za p. de Maufrigneuse, nie przez miłość dla mnie, ale przez miłość dla niego. Spłacała dług wobec jedynego człowieka, którego kochała, za szczęście, jakie otrzymała odeń. Och! Nie zdumiewaj się tą straszliwą kombinacją, zdarza się ona w świecie często. Wiele kobiet czuje się więcej kochankami niż matkami, tak jak większość jest lepszymi matkami niż żonami. Te dwa uczucia, miłość i macierzyństwo w postaci, jaką przybierają w naszych obyczajach, zwalczają się często wzajem w sercu kobiety; jeśli nie są równej siły, jak u kilku wyjątkowych kobiet stanowiących chwałę naszej płci, z konieczności jedno musi ulec. Człowiek genialny, jak pan, musi rozumieć te rzeczy, które przyprowadzają o zdumienie głupców, ale które mimo to są bardzo prawdziwe, i — powiem więcej jeszcze — możliwe do usprawiedliwienia rozmaitością charakterów, temperamentów, uczuć, sytuacji. Ja, na przykład, w tej chwili, po dwudziestu latach nieszczęść, zawodów, dźwiganych potwarzy, gniotącej nudy, czczych przyjemności, czyż nie byłabym gotowa rzucić się do nóg człowieka, który by mnie pokochał szczerze i na zawsze! I ot! Czyż świat by mnie nie potępił? A mimo to, czy dwadzieścia lat cierpień nie usprawiedliwiłoby dziesięciu lat, jakie mam jeszcze przed sobą, oddanych czystej i świętej miłości? To się nie stanie, jestem tylko na tyle głupia, aby uszczuplać moje zasługi w oczach Boga. Dźwigałam ciężar dnia i żar spiekoty aż do wieczora, dopełnię swego trudu i zyskam nagrodę...

— Cóż za anioł! — Pomyślał d'Arthez.

— Zatem nigdy nie miałam żalu do księżnej d'Uxelles, iż bardziej kochała p. de Maufrigneuse niż tę oto biedną Dianę. Matka widywała mnie bardzo mało, zapomniała o mnie; ale postąpiła sobie źle wobec mnie jako kobieta wobec kobiety; a to, co jest złe w stosunku kobiety do kobiety, staje się straszne ze strony matki wobec córki. Matki, które prowadzą takie życie jak księżna d'Uxelles, trzymają córki z dala od siebie, weszłam tedy w świat na dwa tygodnie przed zamęciem. Osądź pan mą niewinność! Nie

wiedziała nic, była niezdolna przeniknąć tajemnicę tego związku. Miała ładny majątek; sześćdziesiąt tysięcy renty w lasach, których rewolucja zapomniała czy nie mogła sprzedać, przynależnych do pięknego zamku Anzy<sup>8</sup>; p. de Maufrigneuse był przywalony długami. Jeżeli później zrozumiałam, co to znaczy mieć długi, wówczas nadto byłam nieświadoma życia, aby to podejrzewać. Oszczędności z mego majątku posłużyły na załatwienie interesów męża. P. de Maufrigneuse miał trzydzieści osiem lat, kiedy zań wyszłam; ale te lata, niby lata wojny, powinny się liczyć podwójnie! Och! Miał o wiele więcej niż siedemdziesiąt sześć lat. W czterdziestu latach matka miała jeszcze pretensje, znalazłam się wtłoczona między dwie zazdrości. Cóż za życie wiodłam przez dziesięć lat!... Ach! Gdyby kto wiedział, co cierpiała ta biedna, tak osławiana kobiecina! Być strzeżoną przez matkę zazdrosną o własną córkę! Boże!... Wy, autorzy, którzy piszecie dramaty, nie wymyślcie nigdy czegoś równie czarnego, okrutnego... Zwyczajnie, wedle mojej słabej wiedzy literackiej, dramat jest szeregiem czynów, rozmów, zdarzeń, pędzących ku katastrofie; ale to, o czym panu mówię, jest najstraszliwszą katastrofą w czynie! To lawina, która spada na nas rano, aby znowu spaść wieczór, i znowu nazajutrz. Zimno mi w chwili, gdy mówię do pana i kiedy oświetlam tę mroźną i ciemną jaskinię bez wyjścia, w której żyłam. Jeżeli mam wszystko powiedzieć, urodzenie mego biednego dziecka, które zresztą jest żywą *mną* — musiało pana uderzyć podobieństwo: to moje włosy, moje oczy, krój mojej twarzy, moje usta, mój uśmiech, moje zęby — otóż, urodzenie jego jest albo przypadkiem, albo wynikiem układu pomiędzy matką a mężem. Długo po ślubie zostałam dziewczyną, opuszczona zaraz nazajutrz... byłam matką, nie bywszy żoną. Księżna z umysłu starała się przedłużyć mą nieświadomość: aby zaś osiągnąć ten cel, matka ma wobec córki straszliwe przewagi. Ja, biedna mała, wychowana w klasztorze niby róża mistyczna, nie wiedząc nic o małżeństwie, rozwinięta bardzo późno, czułam się bardzo szczęśliwa i cieszyłam się zgodą i harmonią rodziny. Zresztą, od myśli o mężu, który nie podobał mi się wcale i nie czynił nic, aby okazać się miłym, odciągnęły mnie pierwsze radości macierzyństwa: były tym żywsze, iż nie podejrzewałam innych. Tyle mi nakładzono w uszy o szacunku, jaki matka winna jest samej sobie! Zresztą, młoda dziewczyna zawsze lubi *bawić się w mamusię*. W wieku, w jakim byłam, dziecko zastępuje lalkę. Czułam się tak dumna, iż mam ten piękny kwiat, Jerzy bowiem był piękny... cud! Jak myśleć o świecie, kiedy się ma szczęście karmić i pielęgnować małego anioła! Ubóstwiam dzieci, kiedy są zupełnie małe, białe i różowe. Widziałam tylko syna, żyłam z synem, nie pozwalałam piastunce ubierać go, rozbierać, przewijać. Te starania, tak nudne dla matek, które mają całe pułki dzieci, były dla mnie tylko przyjemnością. Ale po kilku latach, ponieważ nie jestem całkiem głupia, mimo wytrwałości, z jaką silono się wiązać mi oczy, wreszcie doszło do nich światło. Czy wyobraża pan sobie moje przebudzenie, w cztery lata później, w 1819? *Bracia-wrogowie* są błądą tragedią wobec matki i córki w położeniu tym, co księżna i ja: wyzywałam ich wówczas, ją i mego męża, za pomocą publicznych nieostrożności, które ściągnęły gadania świata... Bóg wie jakie! Rozumiesz pan, drogi panie, iż mężczyźni, o których mnie pomawiano, mieli dla mnie wartość sztyletu, którym posługujemy się, aby ugodzić w serce wroga. Pochłonięta zemstą, nie czułam ran, jakie zadawałam samej sobie. Niewinna jak dziecko, uchodziłam za przewrotną, za najgorszą kobietę w świecie, i nic nie wiedziałam o tym! Świat jest bardzo ślepy, bardzo głupi, bardzo naiwny, przenika jedynie sekrety, które go bawią, które służą jego złośliwości; gdy chodzi o rzeczy najbardziej wielkie, szlachetne, kładzie sobie rękę na oczy, aby ich nie widzieć. Ale zdaje mi się, że w owym czasie miewałam spojrzienia, gesty zbuntowanej niewinności, odruchy dumy, które stałyby się fortuną dla wielkiego malarza. Musiałam olśniewać sale balowe burzami mego gniewu, potokami wzgardy. Stracona poezja! Stwarzamy owe szczytne poematy jedynie w oburzeniu, jakie nas chwyta za gardło w dwudziestu leciech! Później człowiek nie oburza się, czuje się zmęczony, nie dziwi się już złemu, jest tchórzem, boi się. Och, ja nie oszczędzałam siebie! Odgrywałam najgłupszą rolę w świecie: dźwigałam wszystkie ciężary występku, nie mając jego korzyści. Tyle sprawiało mi przyjemności narażać się! Och, płatałam istne psoty dziecka. Pojechałam do Włoch z młodym szaleńcem, którego rzuciłam z miejsca, skoro mi zaczął mówić o miłości; ale, kiedym się dowiedziała, że naraził się dla mnie (dopuścił się fałszerstwa, aby zdobyć pieniądze!), poleciałam go ra-

<sup>8</sup>Zamek Anzy — zamek ten pojawia się także w innej powieści Balzaka: *Muza z zaścianka*. [przypis edytorski]



tować. Matka i mąż, którzy znali moją tajemnicę, silili się mi nałożyć pęta, jako kobiecie rozrzutnej! Och, tym razem poszłam do króla. Ludwik XVIII, ten człowiek bez serca, wzruszył się, dał mi dwieście tysięcy franków ze swej szkatuły. Margrabia d'Esgrignon, ów młody człowiek, którego pan spotkał może w świecie i który skończył bardzo bogatym małżeństwem, wyszedł nietknięty z otchłani, w jaką zanurzył się dla mnie. Ta przygoda, spowodowana mą nieopatrnością, pobudziła mnie do zastanowienia. Spostrzegłam, że byłam pierwszą ofiarą własnej zemsty. Matka, mąż, teść, mieli za sobą świat, zdawali się ochraniać moje szaleństwa. Matka, która wiedziała dobrze, że jestem zbyt dumna, zbyt wielka, zanadto *d'Uxelles*, aby postąpić w czymkolwiek pospolicie, przeraziła się wówczas krzywdą, jaką mi uczyniła. Miała pięćdziesiąt dwa lata, opuściła Paryż, osiadła w Uxelles. Kaja się obecnie za winy, pokutuje za nie przesadną dewocją i bezgranicznym do mnie przywiązaniem. Ale w 1823 zostawiła mnie sam na sam z p. de Maufrigneuse. Och, wy mężczyźni, wy nie możecie wiedzieć, co to jest stary ex-donżuan! Cóż za życie z człowiekiem przyzwyczajonym do adoracji światowych lalek, który nie znajduje w domu ani kadzidła, ani kadzielnicy, umarły dla wszystkiego, i, tym samym faktem, zazdrosny! Chciałam, wówczas kiedy p. de Maufrigneuse był wszystkim dla mnie, chciałam być dobrą żoną; ale poraniłam się o wszystkie kanty zgryźliwej natury, o wszystkie zachcenia niemocy, dzieciństwa, głupoty, o wszystkie próżnostki zrozumienia, o człowieka najnudniejszego w pożyciu pod słońcem, który mnie traktował jak małą dziewczynkę, silił się upokarzać przy każdej sposobności mą miłość własną, przygniatać mnie swym doświadczeniem, dowodzić, że nie mam pojęcia o niczym. Ranił mnie wciąż i wszystkim. Słowem, uczynił, co mógł, abym go miała prawo nienawidzić, zdradzić nawet! Ale byłam ofiarą swego głupiego serca i chęci czynienia dobrze, przez przeciąg trzech czy czterech lat! Wie pan, jakie bezecne słowo pchnęło mnie do nowych szaleństw? — Księżna de Maufrigneuse wróciła do męża, powiadano. — Ba! Przez rozpustę: to przecież tryumf wskrzeszać zmarłych, to jedno tylko jej pozostawało, odpowiedziała moja najlepsza przyjaciółka, krewna, u której miałam szczęście pana spotkać.

— Pani d'Espard! — wykrzyknął Daniel, czyniąc gest zgrozy.

— Och! Przebaczyłam jej. Zresztą, słówko jest bardzo dowcipne. Kto wie, mnie samej może zdarzyło się smagać bardziej jeszcze okrutnymi ucinkami biedne kobiety równie czyste jak ja.

D'Arthez znów ucałował rękę świętej osoby, która, podawszy mu matkę poszatkowaną na kawałki, zrobiwszy z księcia de Cadignan (którego znacie) Otella dziesiątej próby, przypawiła bigosik z siebie samej, obciążając się zarzutami, aby sobie nadać w oczach naiwnego pisarza to dziewictwo, które nawet najgłupsza kobieta pod słońcem sili się wmówić za wszelką cenę kochankowi.

— Rozumiesz, mój przyjacielu, że rzuciłam się z powrotem w świat ze skandalem i po to, aby robić w nim skandale. Przeszłam nowe walki, trzeba mi było zdobyć niezależność i wyzwolić się spod jarzma. Prowadzałam tedy dla innych celów życie lekkomyślne. Aby się ogłuszyć, aby utopić realność fantazji, błyszczałam, wydawałam uczyty, grałam „księżnę” i robiłam długi. W domu zapominałam we śnie o zmęczeniu, odradzałam się piękna, wesoła, szalona dla świata; ale w tej smutnej walce wyobraźni przeciw rzeczywistości strawiłam mój majątek. Nadszedł bunt r. 1830, w chwili właśnie gdy na końcu tej egzystencji z *Tysiąca i jednej nocy* spotkałam miłość czystą i świętą, jaką (jestem szczerą!) pragnęłam poznać. Przyznaj pan! Czy to nie było naturalne u kobiety, której serce, zdławione przez tyle przyczyn i wydarzeń, budziło się w wieku, gdy kobieta czuje, że ją oszukano i kiedy widziałam dokoła siebie tyle kobiet szczęśliwych przez miłość? Ach! Czemuż Michał Chrestien był tak pełen szacunku? I w tym szyderstwo losu! Cóż pan chce? Upadając, straciłam wszystko, nie miałam żadnych złudzeń; wycisnęłam wszystko, z wyjątkiem jednego owocu, na który nie mam już smaku ani zębów. Słowem, byłam zmierzona światem w chwili, kiedy mi przyszło opuścić świat. Jest w tym coś opatrnościowego, jak w upadku sił, który przygotowuje nas do śmierci. (Uczyniła gest religijnego namaszczenia).

— Wszystko mnie wspomogło wówczas — podjęła — klęski monarchii i jej ruiny pomogły mi zagrzebać się... Syn pociesza mnie po wielu rzeczach. Miłość macierzyńska opłaca nam wszystkie inne oszukane uczucia! Świat dziwi się memu pustelnicztwu: ja znalazłam w nim szczęście. Och! Gdyby pan wiedział, jak bardzo czuje się tu szczęśliwa ta oto

biedna istota! Poświęcając wszystko memu synowi, zapominam o słodyczach, których nie znam i nie poznam nigdy. Kto mógłby uwierzyć, iż dla księżnej de Cadignan życie streszcza się w lichej nocy poślubnej, wszystkie zaś przygody, jakie jej przypisują, w wyzwaniu rzuconym przez małą dziewczynkę dwom straszliwym namiętnościom? Nie, nikt... Dziś lękam się wszystkiego. Odepchnę z pewnością szczerze uczucie, prawdziwą i świętą miłość, przez pamięć tylu fałszów, tylu nieszczęść; tak samo jak bogacze, załapani przez hultajów udających nieszczęście, odrzucają cnotliwą nędzę, zrażeni już do miłosierdzia. Wszystko to jest straszne, nieprawdaż? Ale wierzaj mi pan, to dzieje wielu kobiet.

Te ostatnie słowa wypowiedziane były lekkim i żartobliwym tonem, który przypominał kobietę wytworną i drwiącą. D'Arthez był ogłuszony. W jego oczach ludzie, których trybunały wysyłały na galery, jednego za to, iż zabił, innego za kradzież z włamaniem, owego, iż się pomylił w podpisie co do nazwiska, byli świętymi w porównaniu do „wielkiego świata”. Tę okrutną elegię, ukutą w arsenale kłamstwa i zanurzoną w wodach paryskiego Styksu, księżna wyśpiewała z akcentem prawdy niepodobnym do naśladowania. Pisarz patrzył jakiś czas na tę czarującą kobietę, zanurzoną w fotelu, której obie ręce opadały wzdłuż poręczy niby dwie krople rosy zwisające z kwiatu, wyczerpaną swym zwierzaniem, przytłoczoną nim i zdającą się przeżywać w tym opowiadaniu wszystkie cierpienia swego życia: słowem, anioła melancholii.

— I osądź — rzekła, prostując się nagłym ruchem i podnosząc rękę, a zarazem strzelając błyskawicami z oczu, w których gorzało dwadzieścia lat rzekomej czystości — osądź, jakie wrażenie musiała zrobić na mnie miłość pańskiego przyjaciela; ale przez okrutne szyderstwo losu... lub może Boga... wówczas bowiem, wyznaję, mężczyzna, ale mężczyzna godny mnie, byłby mnie znalazł słabą, tak byłam spragniona szczęścia! I ot! Umarł, umarł, ocalając życie komu?... Panu de Cadignan! I dziwi się pan, iż zastajesz mnie zadumaną...

To był ostatni cios. Biedny d'Arthez nie mógł się opanować, ukląkł, utopił głowę w rękach księżnej, płakał tymi słodkimi łzami, jakie wylewałyby anioły, gdyby anioły płakały. Podczas gdy Daniel wtulił głowę, po wargach pani de Cadignan błędził złośliwy uśmiezek tryumfu, ten uśmiech, który miałyby małpy, płatając jakąś przednią sztukę, gdyby małpy uśmiechały się. — No, trzymam go, pomyślała: i w istocie trzymała go dobrze.

— Ależ pani jesteś... rzekł, podnosząc swą piękną głowę i patrząc z miłością na księżnę.

— Dziewicą i męczennicą — odparła, uśmiechając się z pospolitości tego starego konceptu, ale dając mu urocze znaczenie przez ten uśmiech pełen okrutnej wesołości. — Jeżeli widzisz, że się śmieję, to stąd, iż myślę o tej księżnej, którą zna świat, o tej diuszecie de Maufrigneuse, której przypisują i de Marsaya, i bezecnego de Trailles, bandytę politycznego, i głuptaska d'Esgrignon, i Rastignaka, Rubemprego, ambasadorów, ministrów, generałów rosyjskich, czy ja wiem kogo? Całą Europę! Ileż nagadano o tym albumie, który kazałam zrobić, wierząc, iż wszyscy, którzy mnie uwielbiali, byli moimi przyjaciółmi. Och! To straszne. Nie rozumiem, w jaki sposób cierpię mężczyznę u swoich stóp: gardzić nimi, to powinno być moją religią.

Podniosła się, podeszła ku oknu krokiem pełnym dostojeństwa.

D'Arthez usiadł z powrotem, nie śmiejąc iść za księżną, ale patrząc na nią; usłyszał, jak uciera nos, na pozór, oczywiście. Któż księżna uciera nos? Diana próbowała niepodobieństwa, aby przekonać o swej uczuciowości. D'Arthez sądził, iż anioł jego płacze, podbiegł, ujął ją wpół, przycisnął do serca.

— Nie, zostaw mnie — szepnęła słabym głosem — za wiele jest we mnie zwątpienia, aby można coś ze mnie wykrzesać. Pogodzić mnie z życiem to zadanie nad siły mężczyzny.

— Diano, będąc cię kochał, za całe twoje zmarnowane życie.

— Nie, nie mów tak do mnie — odparła. — W tej chwili jestem zawstydzona i drżąca, jak gdybym popełniła największe występki.

Wróciła całkowicie do niewinności małych dziewczynek, pozostając mimo to dostojną, wielką, wspaniałą jak królowa. Niepodobna opisać wrażenia tej sztuczki tak zręcznej, iż sięgała szczerzej prawdy na duszy równie świeżej i szczerzej jak d'Artheza. Wielki pisarz stał we framudze, niemy z podziwu, bierny, czekając słowa, gdy księżna czekała pocałunku; ale była mu nazbyt święta. Skoro księżna zmarła nieco, wróciła, aby usiąść z powrotem w fotelu, nogi miała skostniałe.

— To będzie długa przeprawa — pomyślała, patrząc nań z wyniosłym czołem i głową promienną od cnoty.

— Czy to kobieta? — pytał sam siebie ten głęboki znawca duszy ludzkiej. — Jak do niej przystąpić?

Aż do drugiej w nocy spędzili czas na mówieniu głupstw, które kobiety genialne — jak księżna — umieją zaprawić osobliwym czarem. Diana twierdziła, że jest zanadto zużyta, stara, zwiędła; d'Arthez dowodził jej, o czym była przeświadczona, że ma skórę najbardziej delikatną, najbardziej rozkoszną w dotknięciu, nieporównanie białą, pachnącą; że jest młoda, w pełni rozkwitu. Spierali się o każdy rys piękności, o jeden szczegół po drugim, za pomocą: — Czy wierzysz? — Pan jest szalony. — To z pragnienia! — Za dwa tygodnie będziesz mnie widział taką, jaką jestem. — Ostatecznie dochodzę czterdziestki. — Czy można kochać tak starą kobietę? D'Arthez rozwinął płomienną i studencką wymowę, upstrzoną najbardziej przesadnymi epitetami. Słyszając tego niepospolitego pisarza mówiącego bzdurstwa godne podporucznika, księżna słuchała go z twarzą skupioną, roztkliwioną, ale śmiejąc się w duchu.

Kiedy d'Arthez znalazł się na ulicy, zapytał sam siebie, czy nie powinien był okazać mniej szacunku. Przeszedł w myśli te osobliwe zwierzenia, które, oczywiście, tutaj mocno skrócono; wymagałyby całej książki, aby je oddać w ich miódopłynnej obfitości, z grą sceniczną, która im towarzyszyła. Retrospektywna przenikliwość tego tak naturalnego i tak głębokiego człowieka dała się oszukać naturalności tego romansu, jego głębi, akcentowi księżnej.

— To prawda — mówił sobie nie mogąc usnąć — istnieją w świecie takie dramaty; świat hoduje podobne ohydy pod kwiatami elegancji, pod haftem potwarzy, pod dowcipem ploteczek. Nie wymyślimy nigdy nic ponad prawdę. Biedna Diana! Michał! Przeczynał tę zagadkę; powiadał, że pod tą powłoką lodów są wulkany! I Bianchon, Rastignac mają słuszność: kiedy mężczyzna może skojarzyć wielkość ideału i rozkosze pragnienia w miłość kobiety wykwintnej, pełnej dowcipu, delikatności, to musi być niewymowne szczęście! I zgłębiał swą miłość, i wydawała mu się nieskończoną.

Nazajutrz, około drugiej, pani d'Espard, która przeszło od miesiąca nie widziała księżnej i nie otrzymała od niej ani słówka, przyszła sprowadzona żywą ciekawością. Nic uciesniejszego nad rozmowę dwóch sprytnych gadzinek przez pierwsze dwadzieścia minut. Diana d'Uxelles strzegła się niby żółtej sukni wspomnieć o d'Arthezie. Margrabina krążyła dokoła tej kwestii jak Beduin dokoła karawany. Diana bawiła się; margrabina była wściekła. Diana czekała, chciała spożytkować przyjaciółkę, uczynić z niej sobie psa myśliwskiego. Te dwie kobiety, tak głośne we współczesnym świecie, nie były równe co do siły. Księżna przerastała margrabinę o głowę, margrabina zaś uznawała w głębi tę wyższość. W tym, być może, mieściła się tajemnica przyjaźni. Słabsza tkwiła przyczajona w swoim fałszywym przywiązaniu, śledząc godzinę, tak długo wyczekiwaną przez wszystkich słabych, w której będzie mogła skoczyć do gardła silniejszego i wycisnąć tam ślad radosnego ukąszenia. Diana czytała w niej jasno. Cały świat dał się omamić serdecznościom tych dwu kobiet. W chwili, gdy księżna spostrzegła pytanie na ustach przyjaciółki, rzekła: — A więc, moja droga, winna ci jestem szczęście zupełne, olbrzymie, nieskończone, niebiańskie.

— Co chcesz powiedzieć?

— Przypominasz sobie to, cośmy przetrwały przed trzema miesiącami w tym ogródku, na ławce, w słońcu, pod jaśminem? Och! Jedynie ludzie genialni umieją kochać. Zastosowałabym chętnie do mego wielkiego Daniela powiedzenie księcia Alby do Katarzyny Medycejskiej: „Głowa jednego łososia warta więcej niż głowy wszystkich żab”.

— Nie dziwię się, że już cię nie widuję — rzekła pani d'Espard.

— Przyrzeknij mi, jeśli go zobaczysz, że mu nie powiesz ani słowa o mnie, moja najdroższa — rzekła księżna, ujmując rękę margrabiny. — Jestem szczęśliwa, och! Ale to szczęśliwa nad wszelki wyraz, a wszak wiesz, jak daleko w naszym świecie idzie słówko, żart... Jedno słowo zabija, tyle umieją włożyć jadu w jedno słowo! Gdybyś wiedziała, jak bardzo od tygodnia pragnęłabym dla ciebie podobnego uczucia! Ach, tak, jakaż to słodycz, jakież to tryumf dla nas, dokończyć swego kobiecego życia, dając się ukołysać miłości gorącej, czystej, oddanej, zupełnej, całkowitej, zwłaszcza jeśli się jej szukało tak długo.

— Dlaczego prosisz mnie, abym dochowała wiary najlepszej przyjaciółce — rzekła pani d'Espard. — Uważasz mnie tedy za zdolną do wypłatania ci niegodziwej sztuczki?

— Kiedy kobieta posiada taki skarb, obawa postradania go jest zbyt naturalnym uczuciem... Jestem niedorzeczna, przebac mi, droga.

W kilka chwil potem margrabina wyszła; patrząc za odchodzącą, księżna powiedziała sobie: Jak ona mnie urządzi! Obyż mogła powiedzieć wszystko, co wie o mnie; ale, aby jej oszczędzić trudu wyciągania stąd Daniela, pošlę go jej.

O godzinie trzeciej, w kilka chwil później, przybył d'Arthez. Wśród zajmującej rozmowy, księżna przerwała w pół słowa i położyła mu piękną dłoń na ramieniu.

— Daruj, drogi przyjacielu — rzekła, przerywając — ale zapomniałabym o rzeczy, która wydaje się głupstwem, a wszelako jest niezmiernej wagi. Nie pokazałeś się u pani d'Espard od owego po tysiąckroć szczęśliwego dnia, w którym cię spotkałam; idź tam, nie dla siebie, ani przez grzeczność, ale dla mnie. Może zrobiłeś mi w niej nieprzyjaciółkę, jeżeli przypadkiem dowiedziała się, że, od czasu tego obiadu, nie ruszyłeś się, można powiedzieć, z mego domu. Zresztą, mój przyjacielu, nie byłabym rada widzieć, iż dla mnie opuszczasz stosunki i świat, swoje zatrudnienia, dzieła... Znowuż stałabym się przedmiotem osobliwych potwarzy. Czegóż by nie mówiono? Że cię trzymam na pasku, że cię zagarniam, że lękam się porównań, że chcę jeszcze świat zaprzętać sobą, że dobrze się biorę do rzeczy, aby zachować zdobycz, wiedząc, że to już ostatnia... Kto mógłby odgadnąć, że jesteś moim jedynym przyjacielem? Jeśli mnie kochasz tak, jak mówisz, dasz światu do poznania, że jesteśmy jedynie i po prostu bratem i siostrą. Mów dalej.

Daniela podbiła na zawsze niewymowna słodycz, z jaką ta pełna wdzięku kobieta układała fałdy sukni, aby upaść z całą wytwornością. Było coś nieskończenie szlachetnego, delikatnego w tym przemówieniu: rozczuliła go do łez. Księżna wyrastała ponad niegodne i mieszczańskie targi kobiet, które się spierają i prawują, kawałek po kawałku, po wszystkich kanapach; roztaczała niesłychaną wielkość; nie potrzebowała tego mówić, związek ich miał w sobie coś szlachetnego, prostego. To nie było ani wczoraj, ani jutro, ani dziś; będzie kiedy zechcą oboje, bez nieskończonych spowijań w to, co kobiety pospolite nazywają poświęceniem: bez wątpienia wiedzą, ile na tym muszą stracić, podczas gdy to święto jest tryumfem dla kobiet pewnych, iż zyskują na nim. W tym zdaniu wszystko było nieokreślone jak obietnica, słodkie jak nadzieja, a mimo to pewne jak prawo. Przyznajmy to! Tego rodzaju wielkości są przywilejem jedynie owych świetnych obludnic; pozostają władczyniami jeszcze tam, gdzie inne kobiety stają się podwładnymi. D'Arthez mógł zmierzyć przepaść, jaka istnieje między tymi dwoma rodzajami kobiet. Księżna okazywała się zawsze godna i piękna. Tajemnica owej szlachetności leży może w sztuce, z jaką wielkie damy umieją się obnażyć ze swych zasłon; dochodzą w danej sytuacji do tego, iż są jak grecki posąg: gdyby zachowały bodaj szmatkę, byłyby bezwstydną. Mieszczka stara się zawsze w coś zawijać.

Opancerzony czułością, podtrzymywany przez najwspanialsze cnoty, d'Arthez usłuchał i poszedł do pani d'Espard, która rozwinęła dlań najbardziej czarującą zalotność. Margrabina strzegła się wspomnieć d'Arthezowi bodaj słowo o księżnej, zaprosiła go jedynie na obiad za kilka dni.

Tego dnia d'Arthez zastał liczne zgromadzenie. Margrabina zaprosiła Rastignaka, Blondeta, margrabiego d'Ajuda-Pinto, Maksyma de Trailles, margrabiego d'Esgrignon, obu Yandenessów, du Tilleta, jednego z najbogatszych bankierów w Paryżu; barona de Nucingen, Natana, lady Dudley, dwóch modnych sekretarzy ambasady i kawalera d'Espard, jedną z najbardziej głębokich osobistości tego salonu, sprężynę polityki swej bratowej.

Śmiejąc się, Maksym de Trailles zagadnął d'Artheza:

— Bywa pan często u księżnej de Cadignan?

D'Arthez odpowiedział suchym skinieniem głowy. Maksym de Trailles<sup>9</sup> był to rzemieślnik wyższej kategorii, bez czci i wiary, zdolny do wszystkiego, rujnujący kobiety, które się doń przywiązały, każący im zastawiać dla siebie diamenty, ale pokrywający to postępowanie błyszczącym pokostem, urokiem manier i piekielnym dowcipem. Budził

<sup>9</sup>Maksym de Trailles — postać, która pojawiła się także w innej powieści Balzaka pt. *Ojciec Goriot*. [przypis edytorski]

u całego świata jednaki lęk i wzdargę, ale, ponieważ nikt nie był dość odważny, aby mu okazać co innego niż najdworniejszą uprzejmość, nie mógł spostrzec się na tym lub udawał, iż się nie spostrzega. Hrabiemu de Marsay zawdzięczał ostatni szczebel wywyższenia, jaki mógł osiągnąć. De Marsay, który znał Maksyma od dawna i na wylot, odgadł w nim talent do niejakiich sekretnych i dyplomatycznych funkcji, które mu powierzał i z których tamten wywiązywał się znakomicie. D'Arthez był od roku na tyle wmieszany w sprawy polityczne, aby znać do gruntu tę osobistość, i on jeden miał może dość charakteru, aby wyrazić głośno to, co cały świat myślał po cichu.

— *Do tla nij s befnozdziaq sanietpujeż ban Ispę* — rzekł baron de Nucingen.

— Och! Księżna jest niewątpliwie jedną z najniebezpieczniejszych osób, których próg mężczyzna może przestąpić — wykrzyknął z cicha margrabia d'Esgrignon. — Jej to zawdzięczam zakalę mego małżeństwa.

— Niebezpieczną? — rzekła pani d'Espard. — Proszę nie mówić w ten sposób o mojej najlepszej przyjaciółce. Nigdy nie słyszałam ani nie widziałam u księżnej nic, co by nie płynęło z najbardziej podniosłych uczuć.

— Niechże pani pozwoli mówić margrabiemu! — zawołał Rastignac. — Kiedy ładny koń wysadzi kogo ze strzemion, zaraz doszukuje się w nim wad i sprzedaje go.

Dotknięty tym odezwaniem, margrabia spojrział na Daniela i rzekł: — Nie jest pan, mam nadzieję, z księżną w tego rodzaju stosunku, aby nas to miało krępować w rozmowie o niej?

D'Arthez zachował milczenie. D'Esgrignon, któremu nie zbywało sprytu, nakreślił, w odpowiedzi Rastignakowi, apologetyczny portret księżnej, który przyprawił cały stół o wesołość. Ponieważ koncept ten był dla d'Artheza zupełnie niezrozumiały, nachylił się do pani de Montcornet, swej sąsiadki, i spytał o znaczenie tych żartów.

— Ależ, z wyjątkiem pana (wnosząc z dobrego mniemania, jakie pan ma o księżnej), wszyscy biesiadnicy cieszyli się, jak słyhać, jej względami.

— Mogę panią upewnić, że nie ma ani cienia prawdy w tej opinii.

— Jednakże oto tu obecny p. d'Esgrignon, szlachcic z Perche, doszczętnie zrujnował się dla niej przed dwunastu laty i z jej powodu omal nie dostał się na rusztowanie.

— Znam tę sprawę. Pani de Cadignan ocaliła p. d'Esgrignon od ławy oskarżonych i oto, jak się jej odwdzięcza.

Pani de Montcornet popatrzyła na d'Artheza ze zdumieniem i ciekawością prawie ogłupiałą, następnie zwróciła oczy na panią d'Espard, pokazując go jej jakby dla powiedzenia: „Urzeczony jest!”

Przez czas tej krótkiej rozmowy pani d'Espard występowała w obronie pani de Cadignan, ale obrona ta podobna była do gromochronów, które ściągają pioruny. Skoro d'Arthez wrócił do powszechnej rozmowy, usłyszał to słówko, rzucone przez Maksyma de Trailles: — U Diany zepsucie nie jest rezultatem, ale źródłem; być może, temu właśnie zawdzięcza ona swą cudowną naturalność; nie szuka, nie wymyśla nic; najbardziej wymyślne wyrafinowania ofiaruje niby natchnienie najnaiwniejszej miłości i niepodobna jej nie wierzyć.

Zdanie to, jakby umyślnie przygotowane dla człowieka na miarę Daniela, było tak silne, iż padło niby konkluzja. Porzucono temat, księżna wydawała się *dorznięta*. D'Arthez popatrzył na Maksyma de Trailles i na d'Esgrignona z drwiącą miną.

— Największą winą tej kobiety jest to, że wstępuje w ślady mężczyzn. Trwoni jak oni rodowe dobra, wysyła swoich kochanków do lichwiarzy, pożera posagi, rujnuje sieroty, topi w rękach stare zamczyska, podsuwa i popełnia może i inne zbrodnie, ale...

Nigdy żadna z dwóch osobistości, którym odpowiadał d'Arthez, nie słyszała nic równie silnego. Na to *ale* cały stół oniemiał, każdy znieruchomiał z widelcem w powietrzu, z oczyma kolejno zwróconymi na odważnego pisarza i na potwarców księżnej, oczekując w straszliwym milczeniu konkluzji.

— Ale — rzekł d'Arthez z drwiącą lekkością — księżna de Cadignan ma nad mężczyznami jedną przewagę: kiedy ktoś naraził się dla niej na niebezpieczeństwo, ratuje go i nie mówi źle o nikim. Dlaczegoż na tyle kobiet nie miałyby się znaleźć jedna, która by się bawiła mężczyznami, jak mężczyźni bawią się kobietami? Dlaczego płeć piękna nie miałyby mieć, od czasu do czasu, odwetu?

— Geniusz okazał się mocniejszy od dowcipu — rzekł Blondet do Natana.

Ten deszcz szyderstwa był w istocie niby ogień baterii przeciwstawiony strzelaninie z fuzji. Rozmowa przeszła co rychlej na inny temat. Ani hrabia de Trailles, ani margrabia d'Esgrignon nie kwapili się jakoś do zwady z d'Arthezem. Kiedy podano kawę, Blondet i Natan podeszli do pisarza z żywością, której nikt nie śmiał naśladować, tak trudno było pogodzić podziw obudzony jego zachowaniem z obawą uczynienia sobie dwóch potężnych wrogów.

— Nie od dziś wiemy, jak bardzo twój charakter stoi na wysokości talentu — rzekł Blondet. — Zachowałeś się przed chwilą już nie jak człowiek, ale jak Bóg: nie dać się ponieść ani sercu, ani wyobraźni; nie wziąć w obronę ukochanej kobiety, którego to błędu oczekiwano po tobie i który dałby tryumf w ręce temu światu, pożeranemu zazdrością wobec aureoli pisarskiej... nie! Pozwól sobie powiedzieć, to szczyt dyplomatycznego taktu.

— Och! Pan jesteś mężem stanu — rzeki Natan. — Równie zręcznym, jak trudnym jest pomścić kobietę, nie broniąc jej.

— Księżna jest jedną z bohaterów legitymistycznego stronnictwa, czyż nie jest obowiązkiem każdego człowieka z honorem ochraniać ją *mimo wszystko*? — odparł chłodno d'Arthez — to, co zrobiła dla sprawy swego króla, okupiłoby najbardziej szalone życie.

— Ostro się trzyma — rzekł Natan do Blondeta.

— Zupełnie tak, jakby księżna była tego warta — odparł Rastignac, który zbliżył się do nich.

D'Arthez poszedł do księżnej, która czekała nań, wydana na pastwę najwyższych obaw. Wynik tego doświadczenia, które Diana sama wyzwała, mógł być dla niej oplakany. Po raz pierwszy w życiu ta kobieta cierpiała w sercu i oblewała się zimnym potem. Nie wiedziała, jak się zachować, w razie gdyby d'Arthez uwierzył światu, który mówił prawdę, miast wierzyć jej, która kłamała; nigdy bowiem równie piękny charakter, człowiek równie pełny, dusza tak czysta, umysł tak naiwny nie nastroczyły się jej oczom i dłoniom. Jeżeli utkała tak okrutne kłamstwa, popchnęło ją do tego pragnienie poznania prawdziwej miłości. Czuła tę miłość, jak wylega się w jej sercu, kochała d'Artheza; była skazana na oczekiwanie go, chciała bowiem zostać dlań tą wspaniałą postacią, której rolę grała w jego oczach. Kiedy usłyszała krok Daniela, doświadczyła wzruszenia, drżączki, która wstrząsnęła ją aż do szpiku. Odruch ten, którego nie doznała nigdy podczas najbardziej awanturycznej — jak na kobietę jej stanowiska — egzystencji, przekonał ją w tej chwili, iż postawiła na kartę swoje szczęście. Czy jej, które spoglądały w przestrzeń, ogarnęły całego d'Artheza; przejrzała go przez skórę, przeczytała w jego duszy: podejrzenie nie musnęło go nawet swoim skrzydłem nietoperza. Po strasliwym odruchu trwogi nastąpiła reakcja, radość omal nie zdławiła szczęśliwej Diany; nie ma bowiem istoty, która by nie znalazła więcej siły dla zniesienia zmartwienia co dla oparcia się nadmiernemu szczęściu.

— Danielu, spotwarzono mnie i ty mnie pomściliś! — wykrzyknęła, podnosząc się i otwierając mu ramiona.

W głębokim zdumieniu, jakie sprawiło mu to odezwanie, którego korzenie były dlań niewidzialne, Daniel pozwolił sobie ująć głowę pięknymi rękami; księżna ucałowała go nabożnie w czoło.

— Jakim cudem pani wie...

— O dudku genialny! Czyż nie widzisz, że kocham cię do szaleństwa?

Od tego dnia nie było już mowy o księżnej de Cadignan ani o d'Arthezie. Księżna odziedziczyła po matce jakiś majątek, spędza lato z wielkim pisarzem w swojej willi w Genewie i wraca na kilka zimowych miesięcy do Paryża. D'Arthez pokazuje się tylko w Izbie, a utwory jego stały się niezmiernie rzadkie. Czy to rozwiązanie? Tak, dla ludzi umiających czytać; nie, dla tych, którzy chcą wszystko wiedzieć.

Jardies, czerwiec 1839.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sekrety-ksieznej-de-cadignan>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Córka Ewy. Sekrety księżnej de Cadignan*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wydanie drugie, Instytut Wydawniczy "Biblioteka Polska", Warszawa 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Magdalena Świąkatoń, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Publikację wsparli i wsparły: Wicza, Aleksandra Żołna, srocza, Rysiek, Antoni Pałka, Małgorzata Sulińska, srocza, Aisha Olas, bzz.

ISBN 978-83-288-0074-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.